Nr. 1. Lwów, Niedziela dnia 3. Września 1876 r. Rok III.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM IV.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni D. E. Friedleina.

Wydawca i redaktor A. J. O. ROGOSZ.
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

I.

Słowo do kraju.

Gdy dwa lata temu rozpoczynaliśmy wydawnictwo „Tygodnia,“ wiedzieliśmy bardzo dobrze, z jakiemi trudnościami przyjdzie nam walczyć. Urodzeni i wychowani w Galicji, mieliśmy możność poznania dobrze tej części dawnej Polski. Szlachta czyta u nas bardzo mało, twierdząc, że literatura jest jej niepotrzebną; stan mieszczański stoi jeszcze na bardzo niskim stopniu oświaty, a inteligencja po miastach jest znowu tak nieliczną i biedną, że trudno żądać, by ona sama podtrzymywała całą literaturę. Z powodu tych smutnych stosunków, perjodyczne piśmiennictwo w Galicji znajduje się w tem położeniu, że każdy dziennik jest u nas utrzymywany ofiarnością jednostek.

Gdyby te jednostki, zniechęcone naganną obojętnością kraju, usunęły się nagle z widowni — w Galicji zapanowałaby cisza grobowa.

Tak jest niestety — ale tak dłużej trwać nie powinno.

Cokolwiek krótkowidzący mówią przeciwko literatom i publicystom, żaden człowiek rozumny nie zaprzeczy, że literatura i dziennikarstwo są w dzisiejszym wieku najważniejszą siłą każdego narodu. Nawet w krajach jak Anglja i Francja, które nagromadzonemi miljonami światu imponują, nawet tam prasa perjodyczna jest potęgą największą; a cóż dopiero mówić o kraju biednym jak nasz, który odarty przez obcych i żebracemi trzęsąc łachmany, musiałby chyba utonąć w fali zapomnienia, gdyby nie miał jednostek, które słowem drukowanem przed światem wołają: Żyjemy! U takich narodów prasa ma prawo żądać, aby ją uznawano i popierano.

Uczeni są chwałą przyszłości — literaci i publicyści niosący światło w najniedostępniejsze zaułki, są siłą teraźniejszości. Kto tego nie czuje i nie rozumie — ten albo jest człowiekiem złej woli nie pragnącym lepszej przyszłości dla własnego narodu, albo tak ślepym, że już nie myśleć o jego wyleczeniu.

Prasa galicyjska ma jeszcze tę wielką zasługę, że do tej chwili w jej organizmie nie ma żydowskiego żywiołu. Literaci i wydawcy walczą u nas prawie z nędzą, a mimo to nie idą w służbę Krezusów dziewiętnastego wieku. Za zasługę im to poczytujemy, za prawdziwą zasługę, bo jakkolwiek między żydami są jednostki zacne—ogół tego plemienia działa prawie zawsze ujemnie na organizm narodu, wśród którego żyje, i prasa w jego ręku staje się najczęściej brudną i sprzedajną. Że prawdę mówimy, dowodem na to większość prasy wiedeńskiej.

Po tem cośmy powiedzieli — rzucimy kilka słów, pierwszych na tem miejscu o naszem własnem piśmie.

Rozpoczynając przed dwoma laty wydawnictwo „Tygodnia,“ wiedzieliśmy bardzo dobrze, że ciężkie ofiary będziemy musieli ponosić. Z odpowiednim zasobem moralnym i materjalnym wzięliśmy się do dzieła, ufając, że prędzej lub później kraj pozna się na pracy rzetelnej, która przedewszystkiem jemu pożytek przynosi. Na obojętność moralną skarżyć się też nie możemy; chwalono nas powszechnie nie tylko w kraju, ale i za granicą. Nawet wiele pism zagranicznych, chociaż zarzucały nam z przekąsem, że stoimy zbyt wyłącznie na gruncie narodowym, z czego dumni jesteśmy, przyznawały równocześnie, że „Tydzień“ jest wydawnictwem, jakiego Galicja potrzebuje. Ale czy z poparciem moralnem szło także poparcie materjalne?... Pozwolą Czytelnicy, że na to nie odpowiemy.

Zamknąwszy pierwszą serję „Tygodnia“ złożoną z trzech tomów, rozpoczynamy teraz nową, i numer obecny posyłamy każdemu, kto czytać umie i powinien, aby się przekonał, jaki duch wieje z naszego pisma, jak jest redagowanem, i o ile jego istnienie jest koniecznem.

Nie żądamy współczucia, bośmy dość silni, by się bez niego obejść; nie żebrzemy litości, bośmy na to za dumni; nie prosimy o jałmużnę, bo nawet w razie ustąpienia, w każdym innym zawodzie potrafilibyśmy korzystnie pracować — ale domagamy się poparcia, na które nasza praca zasługuje.

Niech osobiście nam niechętni gniewają się na nas za te słowa — my na ich gniewy nawet uwagi nie zwrócimy. Ci, którzy wiedzą, jak niezbędnym jest dla narodu dorabiającego się lepszej doli, rozwój piśmiennictwa, pojmą nasze wystąpienie, i według sił poprą rzetelne usiłowania.

Tego się też po nich spodziewamy.

ŻELIGA.

Powieść
Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Część pierwsza.

Ow człowiek podżyły już, którego znano w Chełmskiem pod imieniem Żeligi, a o którym później tak dziwne chodziły wieści, że je nieledwie za bajki poczytać było można, przyszedł cale niespodzianie do państwa Barcińskich do Barcina i przyjęto go zrazu jako podróżnego na nocleg wedle starego obyczaju i dawnego przysłowia „gość w dom, Bóg w dom.“ Cóż dopiero gdy tym gościem był człowiek zmęczony drogą, potrzebujący wypoczynku, ubogi?

Żeliga przyszedł pieszo, z kijem w ręku, tłumacząc się tem, że mu szkapa w drodze zdechła, a innej nie trafiło się kupić, lub się z niemi, korzystając z jego biedy, nad miarę drożono. A że naówczas szlachcic ze szlachcicem, bądź co bądź zawsze z sobą byli krewni, i składali wszyscy jakby jednę rodzinę, choć przybyły nie bardzo jasno ze swych kolligacyj i pochodzenia się tłumaczył, z jego rozmowy poznać było można, że nie ladajakim był karmazynem.

Mienił się on być obywatelem województwa Kijowskiego, ale szczegółowo opowiadać się wzdrygał, jak i po co wędrował ztamtąd i przybył w Lubelskie. Przyciśnięty mocniej, począł nawet prosić, aby go o nic nie badano, gdyż ślub był uczynił o tych

rawach nie mówić nikomo, a łamać go chciał. Szanując to zobowiązanie i pan rcin Barciński i pani Marcinowa już mu pokój, i o nic więcej nie dopytywali.

Wieczór spłynął na bardzo miłej gawędce, gdyż podróżny mimo pozornej i ubogiej powierzchowności miał o czem mówić widział dużo świata, jak się to z jego rozmowy okazywało. Wyznaczono mu bardzo porządną izbę w oficynie na nocleg, a nazajutrz rano w dalszą miał wyruszyć drogę. Pożegnał się był nawet z gospodarzem i gospodynią z wieczora. pragnąc odejść o świcie, ale i pan Marcin oparł się temu stanowczo i pani Marcinowa, rada że tak miły gość przerwał tęskną czasem wiejską samotność, która zdawała się niekiedy ciężyć panu Barcińskiemu.

— Ależ proszęż cię, miły panie a bracie — odezwał się do przybysza, — jeśli cię nic w szyję nie pędzi, po cóż się masz rwać do dnia, wypocznij sobie do woli.

— I bez ciepłego śniadania nie uciekajcie mi proszę — dodała jejmość, — każę m piwa grzanego przygotować, bo ranki bywają dobrze chłodne.

Gdy wyszli na ganek, bo gospodarz choć ubogiego gościa odprowadził na kwaterę, aby się przekonać jak mu tu nocleg zysposobiono, przystanął pan Marcin, i szepnął cicho do Żeligi, ujmując go za rękę:

— Słuchaj bracie kochany, ja się waszmości o nic nie dopytuję, ale nie będziecie mi mieli za złe, gdy się dowiem, czy jesteście przy zapasie? bo to w drodze mospanku wyczerpuje się.. nie ma w tem wstydu między swoimi, *hodie mihi, cras tibi.* Nie jestem ja bogacz, ale tem lepiej ci znam ludzkie potrzeby. Gdybyś był łaskaw, a przyjął odemnie kilka talarów na wypadek... bardzo by mi służyć wam miło było.

Że tam jakoś w izbie trochę ciemnawo było, nie dostrzegł pan Marcin, jakie wrażenie te wyrazy uczyniły na Żelidze, ale uścisnął pana Marcina serdecznie i zawołał głosem wzruszenia pełnym:

— Bogdajmy się nam tacy ludzie na kamieniach rodzili, ze złotemi sercami braterskiemi, jak wasze. Bóg zapłać... nie! nie! chwała Najwyższemu, mam jeszcze tyle grosza ile mi go potrzeba... przyjmijcie dzięki serdeczne.

W oficynie znalazło się posłanie wygodne i co tylko mógł potrzebować podróżny; Żeliga był atencją gospodarzy dla ubogiego włóczęgi prawie rozrzewniony.

— Ale cóż to wy, — rzekł ze łzami w oczach i głosie, — tak biednego człowieka porządnie przyjmujecie, dla mnie byle kącik, byle barłog, abym się tam jako tako przespał, to i dosyć... a wy jak jakiego wojewodę w te kotary mnie kładziecie, człek się tylko tam popsuje i rozpieści.

— Mój bracie — odezwał się pan Marcin — powiem ci rzecz jednę. Gdy do mnie wielki, a znaczny gość jaki zawita, nie tak ja bardzo troszczę się o niego; ma on z sobą swoją służbę, pościele i sam się też pieści, da sobie rady. mnie o to głowa nie boli; ale uboższemu bratu posłużyć, to prawdziwa gościnność, bo o nim nikt nie pamięta, bo on sam o siebie nie wiele się troszczy, a ludzie też nasi niezbyt spieszą, gdzie się datku nie spodziewają. Temu to wygoda należy od nas bo się o nią nie upomni, a więcej jej potrzebuje.

Żeliga ukrywał wrażenie, jakie te wyrazy czyniły na nim, pożegnali się oba, czując ku sobie skłonność. P. Marcin w istocie był człowiekiem rzadkiego serca.

Nazajutrz rano jakoś mżyło, deszczyk poprószał, dzień był wilgotny, wstał do dnia pan Marcin i zaraz poszedł do oficyny: — zastał właśnie gościa nad stołem odzianego już, bo mu była jejmość troskliwa przysłała piwa ogrzanego z dobremi grzankami. Powitali się oba wesoło

— E! słuchajcie — rzekł gospodarz — gdzie waść tam po tej ślizgawce i po błocie będziesz się wlókł, odpocznij dzionek z nami, mamy na objad barszcz z rurą i flaki... bośmy wołu zabili... Zjesz co Bóg dał... i siły nabierzesz...

Żeliga nie dając się długo prosić przystał na to. Okazało się że dobrze zrobił, bo się jakoś zaniosło na srogą niepogodę, ranny ów wietrzyk wkrótce zmienił się na szczerą słotę, na kapuśniaczek, który u nas zwykle trzydziestkę wróży.

Poszli więc z panem Marcinem na gawędę do dworu. przegadali o tem i owem nie spostrzegłszy się cały czas do objadu, a po barszczu i flakach z majerankiem, które były przedziwne, grali w warcaby do wieczerzy. Wieczorem, gdy znowu począł się żegnać i dziękować państwu Marcinostwu za gościnność Żeliga, spodziewając się, że nazajutrz choć cokolwiek się rozjaśni, pani Marcinowa, żwawa kobiecina, ani mówić nie dała o odejściu, jeśliby pora nie była po temu. Rada była niezmiernie, że jej męża rozruszał i rozweselił, i że jegomość ani drzemie we dnie, co jest rzecz po objedzie nie zdrowa, ani gderać, ziewać i w szybę palcami bębnić, przeklinając słotę, co jest rzecz nudna, nie okazywał ochoty. A godzili się cudownie, jakby lata przeżyli.

— Co do waszego jutrzejszego wyjścia — odezwała się pani Marcinowa, dając mu rękę do pocałowania — szeroko o tem Dawid pisał... zobaczymy... zobaczymy... tym co powozami przyjeżdżają, koła zdejmują, a pieszemu gościowi postawimy wartę i będziesz jegomość w areszcie... abyś się na deszcz nie wyrwał.

Nie dziw, że się Żeliga powszechnie podobał wszystkim, bo choć *per pedes apostolorum* się przywlókł i nie zbyt wspaniale w szaraczkowej kapocie wyglądał, poznać było łatwo, że człek niepospolity, otarty ze światem i koło wyższych klamek, dużo widział, słyszał, zapamiętał i myślał, miał też co powiedzieć i na podziw do rzeczy. Całej rzeczypospolitej familje i ich kolligacje znał na palcach, kto kogo rodził, kto z kim był spowinowacony; ludzi znakomitszych, zdaje się że osobiście nawet i poufale miał gdzieś zręczność wybadać i stosunki krajowe, politykę, nawet zagraniczne państwa i panujących ilekroć wspominał, to tak jakby się o nią otarł, sądził jak prawdziwy statysta. Rzucił też czasem i łacińskiem słowem w rozmowie i sentencją jakąś, znać uczył się i czytywał. Słowem pod tą szaraczkową kapotą, ciężko się było coś podobnego spodziewać.

Mimowolnie uczuli gospodarstwo dla tego ubożuchnego wędrowca jakieś poszanowanie, choć był skromny nader, potulny a wszędzie się ostatniego miejsca dopraszał. Trzeciego dnia wstał Żeliga rano i przekonał się ze smutkiem, że co wczora mżyło tylko, dzisiaj już lało. Naprawdę pieszemu człowiekowi ruszyć się nie było podobna — psa by za wrota nie wypędził. Aż nadszedł znowu i gospodarz do oficyny pod ogromnym na trzcinie osadzonym parasolem, śmiejąc się ze swojego gościa, który przez wszystkie szyby upatrywał pogodniejszego kąta na niebie.

— A co — rzekł — nie dobry ze mnie prorok? nie widzisz asindziej, że leje jak z cebra? a ja jegomości mówię, że to jeszcze tak jutro będzie.

— O! niechże pan Bóg uchowa! — zawołał Żeliga ręce składając.

— Pewien jestem, że dopiero pojutrze rano wybierze się na piękną pogodę. Księżyc się opłakuje, trzeba mieć cierpliwość.

— Ale ja państwu łaskawym dobrodziejom moim załogą jestem... zawołał skłopotany przybysz.

— No! no! dajcie temu pokój! to nam wiedzieć... moja jejmość aż się śmieje z radości, a co ja o sobie to już nic nie mówię. Chodź asindziej do mnie na śniadanie i nie mówmy już o tem.

Stary spojrzał niespokojnie przez okno, ale niebo całe powleczone było jakby jednym szarym obłokiem, ani nadziei. żeby się rychło rozjaśnić mogło, wiatru najmniejszego a deszcz nie padał, ale lał spokojnie z chmur prostopadłemi strugami na ziemię. Ledwie pod parasolem wielkim dostali się cało do dworu. Dosyć że i ten dzień przegawędzili wesoło; nad wieczór przeciwko przepowiedni pana Marcina, z wielką gościa pociechą trochę się obłoki rozjaśniać zaczęły i deszcz niby ustał, słońce zaszło jaskrawo. ale zachodząc, jak to u nas zowią obejrzało się. Pomarańczowe jego promienie cudownie pozłociły całą okolicę, obmytą świeżą ulewą co widząc Żeliga, który jako pieszy podróżny a zapewne niegdyś i gospodarz znał się na pogodzie, pokręcił głową na to, i zarówno z p. Marcinem zmiarkowali, że nazajutrz znowu deszcz padać musi. Tak się też stało: zrana było pochmurno, wietrzno, chłodno i dżdżysto. nie ruszył się jeszcze i tego dnia Żeliga, wielce upokorzony tem, smutny, milczący. Grali gawędząc, w marjasza, na zdrowaśki za dusze zmarłe. Dopiero z południa dobrze rozeszły się chmury ostatecznie, błękit niebios zasiany złotemi obłoczkami się pokazał, i już śmiało wróżyć można było że podróżny wyruszy nazajutrz rano.

Tak nawet zrobiło się pięknie, że siedli w ganku z p. Marcinem i tu im p. Agnieszka przyniosła wódeczkę, pierwszą przed wieczerzą. Miał bowiem zwyczaj pan Barciński, zresztą nie lubiący trunków, pijać przed jedzeniem dla konkocji dwa kieliszki małe wytrawnej gdańskiej wódki. ale jeden na wpół godziny wprzód, drugi siadając do stołu. Przepiwszy nim do Żeligi, a zakąsiwszy kawałeczkiem toruńskiego piernika, uścisnął gościa swego.

— Ej kochany Żeligo — rzekł — co cię tam tak korci ta dalsza droga, powiedz bo mi szczerze? masz tam co tak pilnego?

— Pilnego tak dalece — odparł Żeliga — Bogiem a prawdą nie mam nic, ale muszę iść.

— Po co? Jak pana mojego kocham— zawołał Barciński — tak mi z jegomością dobrze, wesoło, jakby mi Pan Bóg rodzonego dał brata, jejmość także z waszeci kontenta... wszyscy w domu radzi, łaskę nam prawdziwą zrobisz, gdy u nas sobie jakiś czas spoczniesz i przemieszkasz... daj się nam namówić i uprosić.

Żeliga się uśmiechnął, ale łzy w oczach mu stały.

— Co wam z takiego jak ja niedołęgi? — rzekł powolnie—na co ja się wam zdam darmojad i nudziarz.

— No! no! to już nam powiedzieć!— począł p. Marcin, — cicho! cicho! mówię wam zabawcie, spocznijcie, a gdy się znudzicie, toć to nie turecka niewola, pójdziecie gdy zechcecie.

Tak został Żeliga na tydzień, z czego pani Marcinowa nadzwyczaj była rada, a po tygodniu, choć ubogi węzełek podróżnego stał jeszcze zawsze nie rozpakowany, jakoś już mowy o podróży nie było. Dziwnie bo podróżny ów przystał do tego domu i ludzi, a tak prędko zrósł się z nimi, jak gdyby się tu rodził, lub do rodziny należał.

Coś tak upłynęło bodaj czy nie parę miesięcy. Żeliga przyjęty po bratersku, jak brat się też wysługiwał państwu Barcińskim, a nie był to człek prosty i nie taki próżniak jak najczęściej rezydenci, co się tylko w godzinie stołu regularnie do talerza stawiali. Znał się na wszystkiem bardzo dobrze, a szczególniej na koniach i stadzie, lubił też ogród i myśliwstwo, miał mnóstwo znać z doświadczenia nabytych sposobów i recept skutecznych na końskie słabości i różne łowiectwo znał doskonale, a ze psami ogarami, ba i ptakami, umiał się obchodzić jak nikt. Do gawędki też i opowiadania starych dziejów nie miał sobie równego, słowem był to nieoszacowany przyjaciel w domu, a co dziwniejsza nietylko u państwa, ale u czeladzi i najmniejszego człowieka umiał sobie miłość zaskarbić.

Najczęściej się trafia, że gdy się nowa postać zjawi we dworze, szukając na niej plam gwałtem, boją się ulubienicy stracić trochę miłości pańskiej, zazdrośnie patrzą starsi sługi, szepcą, donoszą i usiłują czernić. Kto zna domowe sprawy wiejskiego dworu i życia, ten wie jak tu każdy nowy przybysz szpiegowany jest przez oczów tysiące, jakby radzi wszyscy co przeciw niemu wynaleźć. Nie minęło to i p. Żeligę, ale ci co się nań usadzili ze wstydem odeszli, bo przy najściślejszej pilności nic znaleźć nie mogli, coby mu w oczach państwa krzywdę robiło. I jak to zawsze po takich próbach bezskutecznych bywa, zmuszeni do poszanowania ludzie, nisko się już kłaniali Żelidze, który niżej jeszcze im się odkłaniać miał zwyczaj.

Ale bo też przeciwko temu biednemu człowiekowi trudno było coś wynaleźć, tak życie jego było jawne, a czyste, tak niezmożonej był cierpliwości, pogody umysłu i wesela niezachwianego. Źle się może wyrażam, zwiąc to weselem, wesołym bowiem właściwie mówiąc nie był Żeliga, prędzej tęsknie zamyślonym, ale w mowie jego nigdy się ból ten wewnętrzny uczuć nie dawał. Ludziom zdawać się mogło, gdyby mu w oczy i na czoło patrzyli, że był najszczęśliwszym. Dopiero gdy sam na sam, a z boku nań kto popatrzał z nienacka, wydała się posępna myśl na sfałdowanem czole. To pewna, że coś na duszy tego człowieka leżało, nie świeża to snać rana była, ale bolesna. Panował on nad sobą, ale wysiłek niekiedy się zdradzał; zamyślał się głęboko, nie słyszał co doń mówiono, chodził posępny a w tych chwilach pogrążenia dziwne mu się trafiały dystrakcje. Przybierał minę jakąś butną, pańską, siadał na pierwszem miejscu, wyrwało mu się słowo rozkazujące, ale oprzytomniawszy sam się z tego śmiał i przepraszał. Gdy go co zniecierpliwiło, mieniła mu się twarz straszliwie, ręce dygotały, mimo to z zaciśniętych ust słowo się nigdy gorętsze nie wyrwało.

Po dłuższym pobycie u Barcińskich, sam p. Marcin i żona, polubiwszy go jakoś, próbowali nieraz wybadać coś od niego z przeszłości, napróżno jednak: albo ich zbywał żarcikami, albo usiłował zmienić rozmowę lub milkł zupełnie. Więc też dali pokój, przekonywając się coraz mocniej, że tam niezagojona była blizna, której się dotykać nie dopuszczał.

Gdy się już miało ku zimie, wieczorem raz, a była w pokoju u komina i pani Marcinowa i on sam, stanął Żeliga przy oknie i rzecze:

— A toć by już przecie czas dalej.

— O czem to mówicie? — zapytał p. Marcin.

— Domyśleć się łatwo, bo to zawsze jedno po głowie mi krąży o mojej podróży.

A w tem pan Marcin śmiać się począł.

— Jużbyś temu dał pokój — zawołał rubasznie — po cóż ci to, co znowu zakorciło? Zapomnieliśmy i my, żeś waszmość obcy i wy powinniście już byli zapomnieć, że to był dom cudzy, trzymajmy się tak kupką, kiedy nam dobrze... Bo że nam dobrze — dodał — to kwestji nie ma, chybaby...

— Ale cóż znowu? mnie tu z wami jak w raju — podchwycił Żeliga — ale kto kiedy wnijdzie w raj a prawa do niego nie ma, toż kiedyś wyjść musi, albo go wkońcu wyrzucą.

— Ani mi mówcie o tem — przerwała żywo pani Marcinowa, z właściwą sobie prędkością, bo była kobieta szparka, otwarta i brzydząca się wszelką obłudą.

— A to pięknie! toćbyśmy z tęsknoty po was wszyscy pochudli, pozagryzali się, pomarli, przecież nie chcesz nam być przyczyną śmierci. Mój Marcin za waszmością przepada, ja się aż wstydzę, żem się tak do was przywiązała, Justysia już płacze na samą groźbę, a cóżby się dało powiedzieć o innych.

Tu odchrząknęła, było to wielkiego znaczenia i bodaj czy się nie stosowało do wielkiej przyjaźni pana Żeligi, dla panny Agnieszki, o której niżej się powie.

Łzy w oczach stanęły znowu biednemu Żelidze, począł po rękach całować panią Marcinowę, a p. Marcin go ściskać, i Justysia się też uczepiła mu do rękawa. Tak się to na niczem skończyło, że potem długo już wcale o podróży wzmianki żadnej nie było.

I ta izba, którą mu byli pierwszego dnia dali na nocleg, została już nadal jego mieszkaniem: nazywano ją nawet pokojem Żeligi, bo choćby najparadniejszego w domu miał gościa p. Barciński, nigdy ztamtąd przyjaciela ruszyć nie pozwolił.

Dziwna też rzecz, dawniej w gospodarstwie różnie się wiodło, a nie bardzo szczęśliwie państwu Marcinostwu, odkąd zaś przybył do nich nieznany człowiek, wszystko poczęło iść po maśle. Czy to że teraz dozór był pilniejszy, bo Żeliga nie mając co robić ciągle się włóczył od kąta do kąta, czy że zdrowej nie skąpił rady, czy że z sobą istotnie przyniósł jakieś błogosławieństwo Boże, dość, że skutek ten od czasu jak zamieszkał w Barcinie był bardzo widoczny i wszyscy to uznawali. Ale gdy czasem pan Marcin śmiejąc się coś o tem, przy nim wspomniał, Żeliga się obruszał.

— Dajcież pokój, dajcie pokój—mówił — jak może człek z sobą to przynieść, czego nigdy w życiu nie miał.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych

przez

Dr. Z. Rościszewskiego.

Przemysł zwierząt.

Dieu fait bien tout ce qu'il fait.
La Fontaine.

Na tej wielkiej widowni, którą przyrodą zowiemy, każde zwierzę żyć musi tak, jak mu organizacja jego, jego budowa ciała i zdolności psychiczne z nią połączone, na to pozwalają. Prawa rządzące przyrodą są w takim porządku i mierze, tak jednakowe i niezmienne, a tak odpowiednie i konieczne, że korzysta z nich zarówno dumny człowiek w pałacu, wspaniały ptak podzwrotnikowego nieba, jak najlichszy robaczek w ziemi, lub wstrętny pasożyt cudzemi sokami żyjący. Każda z tych stworzeń odmienną ma na świecie rolę dla siebie do odegrania, każde wypełnia ją z taką doskonałością, jakby jej się uczyło przed przejściem na ten świat boży, każde jednak o tyle lepiej ją odegra, o ile odpowiedniejszą do przeznaczenia swego ma organizację. Człowiek swojej organizacji doskonałością przewyższa inne na ziemi stworzenia, to też rola jego sięga zenitu w porównaniu z rolą pasożyta, przeznaczonego do żywienia się cudzym kosztem; lecz życie obydwóch zależnem jest zarówno od praw rządzących naturą, jak zależnem jest od nich przyświecające dziś nam słońce, lub miljardy gwiazd migocących na niebie! Jest to rzecz uznana powszechnie, każdemu wiadoma od chwili, gdy zaledwie wyszedł z spowicia, a jednak ileż rzekomych, nie uzasadnionych panuje pojęć pod względem szlachetności zajęć zwierząt, pod względem stopnia ich godności, jakby każde innym podlegało prawom, jakby nie równo na natury opiekę zasługiwały, jedne mając szczególne jakieś przywileje, inne przeznaczone będąc na pogardę! Lecz zkąd ta niesprawiedliwość, zkąd fałszywy ten sąd o rzeczy? Oto z małej między naszą publicznością znajomości przyrody i jej praw,

które w pojęciu wielu dla każdego niemal stworzenia są odmienne! Iluż to między nami jest takich, którzy najkardynalniejszych praw natury nie znają i zdają się nawet nie chcieć je poznać!?

Natura matką jest wszystkiego na świecie, a gdy w każdej sekundzie miljardy istot usuwa ze sceny, to w tejże samej chwili innych niemniejszą ilość do życia powołuje, rozkazując im żyć tak samo jak żyli ich poprzednicy, postępować tą drogą, którą sama im utorowała.

Dla wszystkich istot jeden i ten sam zapas żywności w wielkiej spiżarni przyrody się znajduje, i z równą szczodrobliwością dla wszystkich się rozdziela, względnie tylko do kucharskiej umiejętności każdego rodzaju zwierząt, takowy lepsze lub gorsze spożywa potrawy. Wszystkie tlenu, wodoru, azotu, węgla i mineralnych części do swej egzystencji potrzebują, choć wszystkie nie w jednakowej formie, lecz dla każdego rodzaju zwierząt odpowiednio zastosowanej, dla każdego niemal w odmiennej, do organizacji, do budowy najlepiej odpowiadającej postaci.

Studjowanie w celu poznania formy pożywienia każdego zwierzęcia — badanie sposobu egzystencji każdego rodzaju, stanowi jednę z najwięcej zajmujących gałęzi historji naturalnej. Każde zwierzę na świat przychodząc, już ma dla siebie przeznaczony szereg potraw, ma spisaną kartę, choć nie zawsze dla ludzi znanemi zgłoskami; lecz dla badacza przyrody odczytanie tej karty nie większą przedstawia trudność, jak dla archeologa odcyfrowanie z zamierzchłej przeszłości heroglifów na odkopanym jakim pomniku. On czyta z kości, z łuski, z piór, lub z drobnych łupinek nasion, czyta ze wszystkiego, co znajdzie w przyrządzie trawienia nie zupełnie jeszcze zniszczonego. Każdy ślad, każda organiczna a obca cząsteczka w tym przyrządzie jest dla niego alfabetem, który zręcznie zestawiony, opowiada mu cały sposób utrzymania się zwierzęcia, przedstawia „spis potraw“ do jego rozporządzenia będących. Ba nawet dla badacza „spis potraw“ tych zwierząt, które już skamieniały, których tylko resztki pozostały ukryte we wnętrzu ziemi — czytelnym jest z zachowanych koprolitów i często wyraźnemi zgłoskami opisany, wskazówką jest i objaśnieniem w wielu zoologicznych kwestjach.

Nie wszyscy naturaliści dokładnie przedstawiają stosunek zależności, jaki między zwierzęciem a jego pokarmem istnieje — stosunek, którego poznanie wiele by cennych dało wskazówek, wiele jasnych odkryło punktów na ciemnym dla ogółu naszej publiczności horyzoncie naturalnej historji. — Owóż każdy organizm w ogólności, czy to mech, czy wodorost, czy owad, czy ssak — każdy jednakowemu ulega losowi, każdy zdobyczą jest jakiegoś zwierzęcia; każda organiczna materja, płynna czy stała, czy częścią jest ona zwierzęcia, czy rośliny, krwią, czy roślinnym sokiem, rogiem lub piórem, liściem, czy mięsem, albo kością — każda podpada pod rubrykę zwierzęcego pożywienia, a dla każdej cząstki wybornie urządzone istnieją narządy, które pochłonąć i strawić je potrafią. Stosunek ten organicznych tworów do sposobu żywienia się zwierząt, koniecznym jest do utrzymania tych ostatnich przy życiu, do istnienia przeróżnych ich rodzajów!

Dokładnie rozejrzawszy się w zwierzęcym świecie bez wątpienia znajdziemy tysiące analogij z naszem społeczeństwem, a nawet powątpiewać można, czy ludzkie społeczeństwo w czemkolwiek mogłoby nie znaleść podobieństwa, a nawet zupełnego niemal sobowtóru u zwierząt.

Harting z Utrechtu wskazał niedawnemi czasy uczonemu światu, iż większa część rzemiosł, któremi ludzie się zajmują, zupełnie jest znaną zwierzętom. I rzeczywiście; mamy pomiędzy niemi górników i murarzy, cieśli i fabrykantów papieru, tkaczy a nawet zajmujących się wyrobem koronek, i wielu, wielu innych rzemieślników, a wszyscy oni dla siebie i swego potomstwa pracują. Są między niemi tacy, którzy ziemię kopią, a inni niepotrzebną odnoszą dalej; są tacy, co sklepiena wykuwają, inni podziemnym tym robotom dodają mocy, zupełnie jak nasi górnicy; mamy zwierzęta, budujące domy i pałace podług zasad budowniczej sztuki, to znów inne, które wtajemniczone są we wszystkie sekrety wyrobu papieru, płótna i koronek, a wyroby ich śmiało mogłyby wytrzymać konkurencję z najlepszemi produktami francuskich i belgijskich fabryk tego rodzaju. Któż nie podziwiał doskonałej budowy pszczolego ula, lub mieszkania mrówek, kogo nie zastanowiła delikatna przędza naszego pająka?! Doskonałość niektórych dzieł sztuki rozumu zwierzęcego świata, jest tak wielka, że człowiek jej wyrównać nie może. Gdy astronom np. potrzebuje delikatnej i cienkiej nici do swojego teleskopu, nie szuka jej między ludzkiemi wyrobami, boby jej nie znalazł, lecz zwraca się do nędznego pająka, by ten mu jej dostarczył! Lub gdy inny badacz przyrody chce dobroć swoich mikroskopów porównać, albo gdy miary dla nieskończenie małych przedmiotów potrzebuje, to nie używa do tego na setne lub tysiączne części podzielonego milimetra, lecz *okrzemka* (diatomea) pancerza, jego domka tak małego i nie wyraźnego, że miljonów domków tych potrzeba by było, aby ułożyć z nich kupkę, dla gołego oka widoczną! Lecz nie dość na tem, delikatność ich wyrobów sięga jeszcze dalej!..

Zaledwie najlepsze, najznakomitszych fabryk świata mikroskopy są w stanie przedstawić oczom naszym delikatność rysunków, któremi ten naród liliputów pancerz swój zdobi — zaledwie te instrumenta, na których wykonanie, zręczność i rozum ludzi się wysila, mogą nam wykazać cały wdzięk i piękność, któremi dziwne te organizmy mieszkania swe kraszą! A ile ukrytych jeszcze prawdopodobnie przed niedoskonałością naszych drobnowidzów istnieje zwierzęcych talentów, ile ich skrzętne badania przyszłych pokoleń wykryć mogą — tego dziś nawet najśmielszy umysł ludzki obliczyć nie może! Wszak niedawno dopiero H. Ph. Adan zdarł nam z oczu zasłonę, wykazawszy mikroskopem ten nieskończenie drobny świat piękna w przyrodzie, o którym pojęcia nie mieliśmy przedtem, a ciągłe, choć powolne kroczenie naprzód i udoskonalanie się przyrządów badawczych, niepłonną zapewne żywią nas nadzieją, że z każdym dniem, z godziną niemal każdą nową niespodzianką, nowym przyczynkiem w tym względzie może nas obdarzyć liczny świat uczonych badaczy.

I zkąd to najpierwsze fabryki miast ludzkich czerpią materjał do swoich wyrobów, zkąd go mają fabryki Lyonu, Verviers, Gandawy lub Manchester, kto dostarcza im jego, jeżeli nie zwierzęcy lub roślinny organizm? Żaden dotąd nie znalazł się genjusz ludzki, któryby wełnę, jedwab, lub bawełnę mógł naśladować; żadna dotąd nie stanęła przędzalnia lub tkacka fabryka na ziemi, któraby materjału do swych wyrobów sama sobie dostarczała, choć ci pracownicy natury nie skrywają zazdrośnie przed ludzkim wzrokiem sposobów, których w pracowniach swych używają, lecz do każdej z tych ostatnich drzwi otworem stoją, do każdej przystęp jest dozwolony!

My mamy naukę, mamy parę i kolosalne maszyny, z których sprawiedliwie możemy być dumni, lecz brakuje tego wszystkiego zwierzętom, które jedynie swojego ciała narządami i instynktem dostarczają wyrobów, wprowadzających w zdumienie inteligentny świat ludzi — wyrobów, których człowiek z całym zapasem swych wiadomości, rozumu i zręczności wyrównać nie zdoła, nie myśląc nawet często o tem, iż stąpając po ziemi nieraz nogą zadepce, zniszczy żywą maszynę, na naśladowanie której próżno wieki całe rozum swój wysilają.

Jakkolwiek wielkim jest przemysł całego zwierzęcego świata, to jednak najdoskonalszym i wytwornością wyrobów zadziwiać nas zawsze będzie tak nędzny na pozór świat owadów. Tam wszystko odbywa się w porządku, każdy osobnik względnie do swojej organizacji, do budowy swoich narządów, pewien oznaczony stanowi motor w wielkiej maszynie, pewien stały dział czynności ma sobie przeznaczony, a wypełnia ją z największą dokładnością.

Weźmy za przykład *pszczołę* — owad, który dziecku nawet znany jest i przez matkę za przykład pracowitości i doskonałości wykonywanej pracy jest przedstawiany. Tam porządek w następstwie czynności, systematyczność i regularność w robocie nie mniejszą jest, niż w maszynce, którą zowiemy zegarkiem, a które tylko możebne są w obec tak doskonale odpowiedniej organizacji zwierzęcia do wykonywanej roboty, jaka u pszczół ma miejsce i nadto przy podziale pracy między osobniki, który także w pszczół państwie z nadzwyczajną starannością jest pielęgnowany.

Na czele roju stoi królowa, w najciaśniejszem pojęciu tego wyrazu matka całego narodu. A naród to liczny, którego jedna kasta robotników 20.000 i więcej osobników wynosi, trutni zaś kilka set, lub kilka tysięcy, względnie do tego, czy osada pszczół ludzkiej podległa opiece, czyli też samopas rzucona na łaskę i niełaskę natury.

Pszczoły nasze (apis melifica), jak wiadomo, odznaczają się budową krępą, tłem ciała brunatno czarnem, nierównem pokrytem włoskami, żółtawej, lub brunatnej barwy w rozmaitych odcieniach, włoskami, które najobficiej na głowie, tułowiu występują, tworząc poprzeczne siwo-żółte prążki na przednich skrajach półpierścieni grzbietowych odwłoka.

Jak wszystkich owadów i ich ciało składa się z głowy (caput) z tułowia (thorax) na którym wyrastają skrzydła (alae) odnoża (peles) i z odwłoku (abdomen). Zewnątrz pokryta jest pszczoła chitinowym kośćcem, składającym się z pierścieni, czyli segmentów, albo obrączek ruchomo, lub stale z sobą połączonych. Lecz pilniej przypatrzywszy się budowie tych owadów, natychmiast w oczy nam wpadną odmienne kształty trzech przedstawicieli pszczolego państwa: królowej, trutnia i robotnicy — zaraz się uwydatnią charaktery, właściwe każdej z tych trzech form pszczolego rodu. Już kształt i ociężałość matki i trutnia w porównaniu do rozmiarów i krępego układu pszczoły roboczej, wyra-

żnie okazują, że truteń i matka są przedstawicielami klas uprzywilejowanych pniowej rzeszy, że zaś na barkach niedokształconej samicy spoczywa cała praca w ulu. Gdy ziemskie uciechy i używanie życia są tamtych udziałem, walka, znój i praca mozolna są robotników przeznaczeniem. Roskosze miłości tylko dla królowej i jej dworu istnieją, ona z swą świtą tylko o zaludnieniu państwa myśli; troski wychowania młodzieży, trudy w dostarczaniu środków do życia wszystkim mieszkańcom osady, starania o wygodę należą do roboczej klasy. Przykry też los jest robotnicy. Znojna ją praca czeka w ulu. Budowa mieszkań, zaopatrzenie ich w spiżarniane zapasy, wychów i edukacja potomstwa płodnej królowej, a także walka w obronie całego roju od napadu, słowem cała administracja wewnętrzna i zewnętrzna polityka, policja i obrona od napadu, w ręku roboczej klasy spoczywa. Królowa jest matką rodziny, ona ją dostarcza, z pracy jej ciągnie korzyści, i rezultatem błogich uciech roskosznej miłości się cieszy! — Trzecia klasa trutni — to tylko letnie pnia mieszkańcy, ich działalność potrzebna tylko w czasie rójki, skoro zaś ta ustaje i przed zimą przygotowania w ulu się czynią, potężne kupy trupów trutniowych około każdego ula świadczą, że pracowity ród pszczoli postanowił pozbyć się niepotrzebnych darmozjadów ze swego państwa, nieposłusznych swoim rozkazom na śmierć skazując!...

Z podróży po wyspach Oceanji.

Listy

Jana Kubarego.

Zanim zapoznamy czytelników z ciekawemi wiadomościami z listów Jana Kubarego z Australji, powiemy słów kilka o ich autorze.

Jan Stanisław Kubary, Warszawianin, od wczesnej bardzo młodości miotany był burzliwemi wybrykami losu, co mu jednak nie przeszkodziło do ukończenia kursów gimnazjalnych w Warszawie. Szczególniej rok 1863 wpłynął na wyrobienie się i wzmocnienie charakteru jego i energji, które tak mu potrzebnemi okazały się w niedalekiej przyszłości.

Po kilko-letnich medycznych i przyrodniczych studjach w byłej warszawskiej Szkole głównej, wiedziony chęcią podróżowania zwidził Niemcy, Francję i Anglję, ale nie tu było pole dla jego marzeń i projektów. Szukał tu tylko sposobności do dalekich zamorskich naukowych podróży, aż znalazł takową w Hamburgu 1869 r.

Tutaj zapoznał się z P. Janem Cezarem Godeffroy, głową wielkiego domu handlowego J. C. Godeffroy i Syn w Hamburgu, który prócz tego, jako miłośnik nauk przyrodzonych, od lat już 15tu założył muzeum płodów przyrody Australji i tego wszystkiego, co się odnosi do tej tylko części świata.

Dzielnie dopomagali mu do tego tacy ludzie jak Dr. Graeffe, dzisiejszy inspektor c. k. zoologicznej stacji w Tryeście, Anaren Garret, były zbieracz dla Smithsonian Institution, Amalja Dietrich i inni, którzy od wielu lat podróżowali po stałym lądzie Nowej Holandji i po wyspach Oceanu Wielkiego.

Naukowe te poszukiwania bujnym uwieńczone planem, miał poprzeć nie pomału rodak nasz Jan Stanisław Kubary, któremu P. Godeffroy polecił bliższe zbadanie Mikronezji, t. j. wysp ciągnących się na północy równika na Oceanie Spokojnym, zwanych archipelagiem Karolin Wielkich, archipelagem Marschall'a itd.

W tym celu Kubary w roku 1869 opuścił Europę, i po pięcioletniej działalności naukowej na wyspach Oceanji, działalności której nauka zawdzięcza dzisiaj wiele nowych odkryć i szczegółów z dziedziny przyrody, etnografji i filologji. Kubary, którego nazwisko stało się głośnem w Niemczech i Anglji, zapragnął powrócić na czas krótki do Europy dla odwidzenia matki i siostry, które zostawił w Warszawie i kilku bliższych przyjaciół, nadto, aby zaopatrzyć się w lepsze i niezbędne przyrządy do następnej podróży. Na wiosnę 1875 r. przybył do Hamburga przywitany otwartemi rękoma przez panów Godeffroy z uznaniem zasług jego dla ich muzeum i dla ogólnej wiedzy. W tym czasie, jeden z bliższych przyjaciół Kubarego bawiący we Lwowie, z którym tenże przez pięć lat pobytu na Oceanji, stale i często korespondował, z której to właśnie korespondencji dzisiaj korzystać zamierzamy, zaproponował Kubaremu spotkanie się we Lwowie, tem bardziej, że przypadł właśnie czas drugiego zjazdu lekarzy i przyrodników polskich.

Komitet zjazdu ze swojej strony posłał doń zaproszenie do współudziału, jakoż dnia 23 Lipca 1875 r. Kubary przyjechał do Lwowa i był pożądanym uczestnikiem zjazdu.

W dowód uznania zasług jego dla nauki, ofiarowano mu godność sekretarza zjazdu a zarazem uproszono, aby zechciał zaznajomić uczestników choć po krótce z pracami i spostrzeżeniami swojemi w Australji, co też Kubary na pierwszem posiedzeniu sekcji przyrodniczej w interesującym wykładzie uczynił, objaśniając przytem wiele rzeczy na przywiezionych okazach i fotografjach. Po kilku dniach pobytu we Lwowie powrócił do Hamburga, zkąd we Wrześniu tegoż jeszcze roku, zaopatrzony w kosztowne a liczne przybory, odpłynął znów do Australji.

Za nim wiadomości o nim i o jego dalszych badaniach nas dojdą, dzielimy się dzisiaj z czytelnikami korespondencją Kubarego z 5ciu lat poprzednich jego podróży, z tem zastrzeżeniem, że są to tylko urywki z listów prywatnych, które starano się jednak o ile możebnem to było, w pewną całość opowiadania połączyć.

Upalu, na Archipelagu wysp Żeglarskich (Samoa). Dnia 3 Października 1869 r.

Jako współpracownik wielkiego muzeum P. Jana Cezarego Godeffroy w Hamburgu, muzeum reprezentującego Australję pod względem historji naturalnej, etnografji itp. nauk, wypłynąłem z przystani hamburgskiej dnia 1 Maja 1869 r. w kierunku Oceanu Wielkiego, czyli Spokojnego, dla zbadania Archipelagu Karolin Wielkich.

Jedenastego dnia podróży wpłynęliśmy na Atlantyk. Jako naturalista łowiłem morskie istoty i ptaki, lecz pod względem naukowym nie wiele tu miałem pożytku. Po miesiącu dosyć szczęśliwej podróży, ujrzałem z daleka pierwszy ląd. Były to brzegi Ameryki południowej, mała wysepka St. Fernando de Noronchy. Minęliśmy ją i zwracając się ku wschodowi pod wyspą St. Heleny okrążyliśmy przylądek Dobrej Nadziei, schodząc aż do 45 stopni szerokości południowej. Upały równika i zwrotników zamieniły się w dotkliwe zimno. Weszliśmy w dziedzinę zimy, pełną burz i nawałnic. Przez cały Ocean Indyjski mieliśmy jedną burzę, a przy zachodnim końcu Australji, pochwycił nas Cyklon w tany. Dzięki jednak dzielności kapitana i doskonałej budowie naszego olbrzymiego okrętu, wyszliśmy cało a w początkach czwartego miesiąca ujrzeliśmy północny koniec Nowej Zelandji i wpłynęliśmy na Ocean Spokojny. W pierwszych dniach września leżała przed nami wyspa Upalu, jedna z wysp Żeglarskich, zwanych po krajowemu Samoa.

Flagi konsulów na lądzie nas powitały i chmry dzikich kanaków jak ćmy nas opadły. Po 130 dniach stanąłem nogą na lądzie. Kraj tutejszy jest cudny, zwłaszcza pierwsze jego ujrzenie. Kilkanaście wysokich gór obok siebie, pokrytych zielenią do samego szczytu, o stopy których rozbijają się Oceanu bałwany. Wśród kęp palm kokosowych, bananów, pomarańcz, cytryn i chlebowego drzewa, kryją się małe okrągłe chaty krajowców. Dróg nie ma, wszystko dzikie i swobodne, wszystko olbrzymie i wspaniałe.

Ludność ciemno-brunatna o rysach łagodnych, z wyrazem pewnej inteligencji, jest po większej części nawróconą już przez katolickich i protestanckich misjonarzy. Pomimo tego swobodne te dzieci natury są dzicy, chodzą nago, uzbrojeni w spisy i bynajmniej nie chcą się cywilizować tak, jak sobie Europejczycy życzą. Po części mają słuszność, bo Europejczycy przybywają tu jedynie dla zysku, a misjonarze nawracają ich i cywilizują dla tego — aby nauczyć ich zbytku, co ich demoralizuje tylko, nadto dla tego jeszcze, aby wyzyskiwać bajeczne sumy za błahostki. Dzicy jednak są bardzo rozsądni, nie kupują europejskiej odzieży, a tylko broń, tytoń, różne i praktyczne narzędzia, a czasem książki do nabożeństwa i różańce, zresztą zupełnie są dzicy. Bo i cóż tutejszy mieszkaniec potrzebuje? Natura daje mu wszystko, kokos, chlebowe drzewo, banany, taro, wieprze i kury dzikie, gołębie i ryby. Ciepło zastępuje mu ubiór, gęste włosy chronią głowę od słońca, fartuchy i liście dopełniają ubrania. Wonne kwiaty, muszle i jagody dostarczają mu świątecznych ozdób.

Więcej ucywilizowani noszą fartuch z płótna i parasolem od słońca się zasłaniają, mają biblję, bo wielu umie czytać a nawet pisać w swoim rodzinnym języku.

Mowa tuziemców nie jest bynajmniej tak dziką, jakby się to wydawać mogło. Wszystkich trzech familij języków, na jakie podzielona jest mowa Oceanji tj. polinezyjska, melanezyjska i mikrenezyjska, mowa tutejszych mieszkańców czyli Samoanów Polinejczyków jest typem i charakteryzuje ją przewaga samogłosek a ubóstwo spółgłosek. Sylaby i wyrazy muszą się kończyć na samogłoski, a dwie spółgłoski nie mogą stać obok siebie. Dla tego mowa ta jest bardzo śpiewną i miękką.

Wszystkie tajemnice podzwrotnikowej poezji, silne na myślącym Europejczyku czynią wrażenie. Cudno-póre ptaki, wyniosłe palmy, soczyste ananasy, słodkie biało-mleczne kokosy, pyszne banany, pomarańcze i cytryny, zdobne wonnym kwiatem i obfitym owocem, tu otaczają go do koła. Ciemne wysokopienne lasy palmowe, obfitemi splotami powojów, lijanów i wanilli obwite, witają wszędzie bogatą zielonością, wzywając przybysza, by dążył w wilgotne i gorące ich knieje.

Ponieważ okręt który mnie poniesie jeszcze 1000 mil dalej, ma przybyć dopiero w Grudniu, przeto zagospodarowałem się tutaj na dobre. Przy pomocy kilku dzikich, którzy są dla mnie z wielkim respektem, wzniosłem sobie śliczny choć skromny domek o trzech izbach w czarującem położeniu. Nie chcąc tracić czasu, zaraz pierwszych dni wybrałem się na ekskursję, ale tylko myśliwską. Z dwoma objuczonymi krajowcami jakich na żołd mój zaciągnąłem, wyruszyłem w drogę o 6 rano. Droga w głąb wyspy jest niemożliwą, z powodu gąszczy i bagnisk, musiałem więc obejść 5 mil angielskich, nim stanąłem przed murem zieloności, zwanym u nas dziewiczym lasem. Parę rzek przebyliśmy w bród, słońce paliło jak ogniem, lecz nie chciałem spocząć póki nie wedrę się w gąszcz, gdzie nikt jeszcze nie był prócz wężów i dzikich gołębi. Pomimo ogromnego zmęczenia musiałem gwizdać, aby dać dobry przykład ustającym ze znużenia kanakom, żeby mi nie uciekli.

Ażeby dostać się w głąb lasu, musiałem wrębywać się krótkim lecz ciężkim pałaszem, i około południa spocząłem na wilgotnem acz miękkiem posłaniu z olbrzymich paproci i powojów. Pomimo południa, ani jeden promyk słońca nie mógł się przedrzeć do mnie przez chaos pni, liści i lijanów, olbrzymie te strumienie światła nie zdolne były przeniknąć tej gąszczy, a człowiek z ciała i kości nie spotkał oporu, jakiego by zwalczyć nie mógł.

Tu nowe widoki i wrażenia; pomimo tego żeśmy sobie drogę wyrąbywali, niepodobna było dostrzedz śladu naszego przejścia. Olbrzymie stare pnie powywracane w różnych kierunkach, pokryte niezliczonemi porostami i pasożytami, tworzą wszędzie szańce i barykady, czasem niepodobne do przebycia, naturalna więc rzecz, że nie mogliśmy daleko się posunąć, kąpiąc się przytem w wilgotnej a parnej atmosferze. Kilka ślicznych ptaków padło ofiarą mej ciekawości. Pełen zdradliwych zamiarów czołgam się między gąszczami siejąc śmierć i zagładę między spokojne dotąd śpiewaki boru. Tu szmaragdowy Ptilinopus, zwabiony fałszywym głosem, bo nie znał dotąd zdrad ludzkich, wesoło trzepoce skrzydłami i pokukuje wabiąc samiczkę. Śmierć ich pewna, ale naturalista wprzód obserwuje jak się względem siebie zachowują, gdzie i jak ścielą gniazdeczko, ile składa samiczka jajek, co jedzą itd. Bez litości naturalista spekuluje z palcem na cynglu, z bronią gotową przeciąć szczęsną nić życia niewinnych.

Naturalista powinien kochać naturę, chociaż nauka poznaje ją niszcząc. Wiele ptaszyn świegotało swą piosnkę nie wiedząc, że czarne wyloty dubeltówki gromem śmierci przerwą ich piosnkę i życie. Wiele takich ptaszyn puściłem z życiem. Zachwycony ich widokiem i wdzięczny za obraz prawdziwej swobody, zapominałem, żem naturalistą. Wiele znowu martwych legło u nóg moich, by wzbogacić naukę i ozdobić europejskie muzea. Takie polowanie choć na ptaszyny ma wiele powabów, choćby ze względu na miejsce gdzie się odbywa, a jeśliby kto wyrzekł: że nie sztuka zabić kruka, odpowiem: że na nieszczęście lwów i tygrysów tu nie ma, choć może ich nie jeden z książkowych podróżników i przygodników dziesiątkował. Szczur prócz świń jest tu największym z ssących. Ale włóczenie się po tych wilgotnych kniejach, gdzie za każdym krokiem można spaść w głębokie szczeliny i przepaści, czołganie się między powojami uzbrojonemi w ciernie, w okół panujące milczenie, szmer wytryskujących gdzieniegdzie i po liściach spadających zdrojowisk, brzęk owadów, niezrozumiałe dla człowieka rozhowory ptaków, szum wiatru kołyszącego lasu korony, owo skradanie się za tęczowym ptakiem, wreszcie huk wystrzału co okropnym niepokojem i trwogę całą przyrodę napełnią, wszystko to przemawia do duszy, zadowala i cieszy.

Odwrót również był trudnym i ledwie żeśmy późno wieczorem zdążyli wyjść z lasu i stanęli nad brzegiem morza. Niepodobna było znużonym wracać pieszo, zwłaszcza, żeśmy spotkali nad brzegiem wysmukłe kanoe, to jest czółno wypalone z jednego pnia drzewa, w jakiem trzech zaledwie ludzi pomieścić się może. Pomimo możliwego niebezpieczeństwa na tak wątłej nawie wobec wzburzonego Oceanu, dzięki szalonej zręczności kanaków, którzy takiemi skorupami kierują jak Argonauci, przybiliśmy szczęśliwie do mojego brzegu.

Miłym był wówczas spoczynek w chacie mojej na miękkich liściowych i łykowych matach, przyglądając się bogatym, z takim trudem lecz i uciechą zdobytym łupom.

(C. d. n.)

Zarys historji kobiety w Rossji.*)

Według Szaszkowa skreślił

Dr. Jan Stella Sawicki

I.

Ciężki i nie do zazdrości był los kobiety w Rossji: wiele ona łez przelała na drodze historycznego istnienia, wiele smutku, poniżenia i niewoli przecierpiała w rodzinnem i społecznem życiu, nie okupiwszy mąk swoich niczem coby ją mogło podnieść i dać miejsce w historji ludzkości. Niezależnie od zupełnej politycznej niewoli i bezwarunkowego poddania się rodzinie, idea niższości kobiety przesiąknęła starożytną historję Rossji, uświęcona religją, zwyczajami i prawem.

Nie będę przechodził z autorem czasów czysto słowiańskiego życia narodu, który w dalszym rozwoju swych dziejów zlał się z azjatyckiemi plemionami, biorąc od nich zwyczaje, obyczaje i prawa, a zostając tylko przy dawnym języku. Charakter słowiański zaciera się w Moskalach pod wpływem innej cywilizacji, stosunki społeczne przerabiają się tak, że w 14 i 15 wieku już nie podobna było w nich dopatrzeć cech życia słowiańskiego. Swoboda kobiety i jej wpływ na społeczność, tak dobitnie występujące w wiekach średnich, rycerski stosunek mężczyzny do płci pięknej, nie przeszły do Moskali, bo tam gniótł ją patrjarchalny pierwiastek azjatycki, poniżający kobietę do stanu domowego zwierzęcia. Tradycja dawnego marzenia i swobody słowiańskiej kobiety (Wanda, Lubusza i Olga) znikły w Moskwie z chwilą popadnięcia kraju w jarzmo Mongołów, z którego gdy się lud wydobył, już w nim nic słowiańskiego oprócz mowy nie pozostało.

Patrjarchalno-rodowe zasady znalazły w Moskwie tak żyzną glebę dla pełnego rozwoju, jakiej nie miały nigdzie w zachodniej Europie, i puściły tak głębokie korzenie w życiu narodu, że Moskwa 16 i 17 wieku była więcej patrjarchalna jak Japonja i Chiny. W zachodniej Europie, która kształciła się pod wpływem rzymskiej cywilizacji, bardzo wcześnie zaczęła rozwijać się osobistość ludzka. Moskale zaś zlewali się nie z cywilizowanymi Rzymianami, a z na wpół dzikimi azjatyckimi patrjarchałami. Meria, Czudy, Muroma, Połowcy, Berendei, Mongoły i Tatarzy łącząc się z Moskalami, i mięszając krew swą z krwią słowiańską, wpłynęli na język, zwyczaje, pojęcia, charakter i religję, podtrzymując i rozwijając ten patrjarchalno-rodowy porządek pod którym żyli sami w ciągu wielu tysięcy lat w swych brudnych ułusach. Na ten czysto azjatycki rozwój społeczności ogromnie jeszcze wpłynęła Bizancja z jej półazjatycko-cywilizacją. Wschodnie pojęcia o małżeństwie, rodzinie i społecznych stosunkach, oddziałały na publiczne i prywatne życie, na szkoły, prawa i kościół.

Jednostką dawnej społeczności była rodzina, która pozostając nierozdzielną zawierała w sobie nie tylko rodziców i dzieci, ale wszystkich krewnych, oprócz dziewcząt wydanych zamąż, i przemieniała się w ród. Wtedy daleko częściej jak teraz, pod władzą naczelnika rodu grupowały się jego dzieci, bracia i kuzynowie ze swemi rodzinami. Takie wielkie rody, które dotychczas można spotkać w różnych miejscach Moskwy, miały wspólny majątek i nazywały się dworem. Pobór podatków z dworu, czyli gospodarstwa, łączył rodziny w jedno i przydawał im charakter rodowy. U ludzi bogatych w skład takiej rodziny oprócz krewnych wchodziło jeszcze wiele obcych osób: niewolników, sług, wojska i t. d. Dwór taki, czy to należał do biednego właściciela ziemi, czy do bogatego kupca, czy do silnego bojara, przedstawiał jak by oddzielne państwo pod absolutną władzą głowy rodu czyli ojca, którego wszyscy zwali panem, *hosudarem*. Ojcowska jego władza według prawa, w praktyce, według ludowego przekonania i nauki cerkwi była nieograniczoną. W ciągu wieków ojcowie używali wszelkich sił do utwierdzenia władzy swej w rodzinie; w ciągu też wieków popierało ich w tej dążności duchowieństwo z bizantyjskiej szkoły, które opierając się na patrjarchalnych ideałach rodzinnego życia, przedstawiało i z religijnego punktu konieczność podobnej nieograniczonej władzy ojca.

W kazaniach, w książkach, w naukach duchowieństwo nauczało nieustannie, że ojciec jest panem, apostołem swego domu, że on odpowiada przed Bogiem za wszystkie swe dzieci i za ich postępki; wola więc jego powinna być prawem dla dzieci, obowiązanych do ślepego posłuszeństwa. Ojciec zaś dla należytego kierownictwa rodziną pod względem religijnych obowiązków, powinien słuchać rad kościoła. Popierając absolutną władzę ojcowską, duchowieństwo łatwiej mogło propagować swe doktryny i obrządki. Nie tylko więc dawniej, ale i dziś jeszcze ojciec rodziny jest nietylko panem wszystkich w skład jej wchodzących, lecz i kierownikiem w sprawie zbawienia duszy. Ucząc ojców, że trzymając ostro swe dzieci odbiorą nagrodę na ziemi i w niebie, duchowieństwo pocieszało dzieci tem, że staną się i oni ojcami, a za życie niewolnicze w młodości będą wynagrodzeni bezwarunkowem posłuszeństwem swych dzieci. Młodemu niewolnikowi za dobrowolne poddanie się władzy starszego, obiecywano w nagrodę nieograniczoną władzę nad niewolnikami, których wniesie mu żona...

*) Pod tym tytułem wyszła w Petersburgu nadzwyczajnie ciekawa praca p. Szaszkowa w 1872 r. którą w streszczeniu podajemy czytelnikom.

Bojaźń przekleństwa rodzicielskiego i piekielnych mąk za nieposłuszeństwo, była także ważną pobudką zmuszającą ludzi do bezwarunkowego synowskiego posłuszeństwa. Te patrjarchalne poglądy tem łatwiej mogły puścić korzenie, że w Moskwie dawniej szkół nie było, a jedynym nauczycielem swych dzieci był ojciec. Obawa rózgi, pałki lub nahaja, była podstawą ówczesnej pedagogiki. Duchowieństwo zajmujące się ułożeniem książek naukowych doradzało w nich ojcom być srogimi i bez serca dla dzieci: „Nie szczędźcie pałki, łamcie żebra, mnożcie rany, trzymajcie dzieci w grozie“ wołali popi do ojców „Bijąc ciało, wybawiacie ich duszę od śmierci.“ „Trzymaj w grozie córkę twoją, żeby zachowała czystość cielesną, była posłuszną i nie miała swej woli, a tylko twoją.“ Tenże system strachu był zastosowany do zony, sług i niewolnic, które „Bóg stworzył, ale Bóg też oddał ci je w usługę.“ „Nie miłość lecz bojaźń powinna być podstawą stosunku ojca do dzieci“—uczą ówczesne książki, uważane za święte.

Nic więc dziwnego, że przy takim kierunku, przy takich dążnościach rodzina stała się rodzajem aresztanckiej roty, którą trzyma w porządku tylko strach pałki lub nahaja, a ojciec stał się grozą wszystkich domowników, władcą, który w domu swoim mógł robić co tylko mu się podobało.

Wychowany pod jarzmem ojcowskiej samowoli, widząc od urodzenia tylko niewolników i despotów, wierząc w konieczność tego porządku rzeczy, syn który oswobodził się z pod ojcowskiej opieki i stał się niezależnym, zmieniał się na takiegoż samego despotę jakim był ojciec jego. Stawszy się głową rodziny nie chciał znać praw innych, oprócz swej woli często dzikiej i prawdziwie zwierzęcej. Te patrjarchalne zasady przenikły całą społeczność moskiewską od dołu do góry, i to czem był Iwan Groźny w państwie, tem był każdy ojciec w rodzinie swojej. Według ówczesnych pojęć, ojciec mógł robić ze swemi dziećmi co mu się podobało, i ta idea nieograniczoności władzy ojcowskiej przechodzi przez całą moskiewską historję, a posłuszeństwo młodszych starszym daje mu tę siłę, która imponuje całej Europie.

Według prawa państwowego, wydanego przez cara Aleksieja Michajłowicza, zabójstwo dzieci przez rodziców jest tylko grzechem, a nie zbrodnią; co się zaś tyczy bicia, kaleczenia i torturowania dzieci, tego ani prawo, ani opinja publiczna rodzicom nie zabraniały. Patrząc przez palce na tyranję ojcowską, prawo srogo karało za najmniejsze przekroczenie dzieci przeciwko tej władzy. Za zabójstwo rodziców wydawano na najokropniejsze męczarnie, a za nieposłuszeństwo prawo nakazywało „bić ich knutem bez miłosierdzia;“ tak samo prawo karało dzieci jeżeli ośmieliły się zanieść skargę na tyranję rodziców.

Losem i przyszłością dzieci rozporządzał ojciec dowolnie: żenił syna, wydawał za mąż córkę nie pytając ich zgody, pozbawiał spadku, wypędzał z domu, oddawał na służbę, lub sprzedawał w niewolę. Ojciec mógł cztery razy sprzedać swego syna i tylko po czwartej sprzedaży tracił prawa swoje nad nim. Przedawano też nie tylko w czasach głodu, ale i wtedy gdy ojciec nie miał pieniędzy na pijaństwo. Taka sprzedaż dzieci istnieje do dziś jeszcze. W niższych warstwach zadłużony ojciec oddaje wierzycielowi syna, żeby pracą swą spłacił dług jego, lub oddając syna do pracy zabiera sobie jego zarobek.

(C. d. n.)

STUDJA ESTETYCZNE

Wojciecha hr. Dzieduszyckiego.

Słowo wstępne.

Od kilkudziesięciu już lat estetyka budzi u nas największe po historji zajęcie. Gdy inne nauki mało ogół obchodzą, gdy książki poważne innej treści z trudnością nakładców znajdują, — każda prawie książka o estetyce znajduje chętnych nabywców, a wszystkie dzienniki są pełne artykułów, zostających w bliższym lub dalszym związku z estetyką i historją sztuki. Wreszcie rozkwit sztuki polskiej w ostatnich leciech dowodzi jasno, że owo zajęcie nie jest jałowem.

Mimo to publiczność nasza mało wie o sporze estetycznym toczącym się na Zachodzie. Nauka zachodnia stanęła i co do estetyki na rozdrożu, i nie jest pewną jaką wypadnie jej obrać drogę. Pozytywiści nawołują na zupełnie nowe tory, a przeciwnicy ich, broniąc dawnych tradycyj ze zgrozą wskazują dziwaczne teorje, które się wylęgły w głowie niejednego proroka estetycznego pozytywizmu.

Pozytywizm jest najpierw metodą. On żąda żeby wiedzę na faktach oparto. Pozytywizm filozoficzny, mniej więcej tak mówi o metodzie estetycznej, czyli o sposobie zdania sobie sprawy z natury wrażeń pięknych. Estetyką zowiemy naukę o pięknie. Pięknem nazywamy to co czyni na człowieku miłe wrażenie, choć nie podrażnia niższych zmysłów, choć nie pokrzepia ciała, i nie obiecuje polepszenia bytu.

Potrawa smaczna jest miłą, ale piękną nie jest. Dom może być doskonale postawionym i bardzo wygodnym, a jednak nie pięknym.

To co wywołuje chwilowe, przyjemne podrażnienie zmysłów jest miłem. To obiecuje na przyszłość miłe rzeczy, jest, albo zdaje się być pożytecznem. Rzecz jest piękną o ile jest przyjemną bez względu na to, że jest miłą dla zmysłów niższych, użyteczną lub obiecującą. Lew srogi, szkodliwy i niemiły jest jednak piękny.

Zdolność wywierania wrażenia piękna jest to siła, siła działająca na nasz umysł. Piękność jest to posiadanie tej siły. Gdy zbadamy naturę tej siły dokładnie, poznamy jednę stronę więcej zewnętrznych stosunków naszego umysłu. Poznamy o ile nasz umysł pewnym wrażeniom ulega. Badania estetyczne służą tedy do uzupełnienia psychologji, i należą przeto poniekąd do zakresu nauk psychologicznych.

Z drugiej strony estetyka jest osobną nauką, ponieważ siła wywierania wrażeń estetycznych jest własnością rzeczy zewnętrznych, leżących po za naszym umysłem; jest to jednak nauka nie leżąca w zakresie fizyki. Fizyka bowiem ma tylko do czynienia z naturą ciał i ich zewnętrznym stosunkiem. W estetycznych objawach część bierna, część ulegająca wrażeniu jest to zawsze istota nie cielesna: umysł ludzki. Część czynna, czyli rzecz wywierająca wrażenie, bywa czasem ciałem, czasem falą powietrza rodzącą głos, ale czasem także i myślą tylko, a więc znów rzeczą niecielesną. Estetyka należy tedy do zakresu nauk moralnych czyli filozoficznych.

Nauki fizyczne używają od wieków pozytywnej metody, to też doszły już do wielu niezaprzeczonych pewników. W naukach filozoficznych wszystko jest dotąd spornem. W naukach fizycznych ograniczono się zrazu mądrze na opisaniu rzeczy i stosunków rzeczy między sobą. Prawda opisów dawała się zawsze stwierdzić, a przeto opisy nie mogły długo być przedmiotem sporów. W naukach filozoficznych przeciwnie staczano boje o zagadnienie nieulegające doświadczeniu; boje te musiały zostać nierozstrzygniętemi, bo jak tu przekonać się o rzeczy, której naturą właściwie to, że się o niej przekonać nie można. Ztąd wreszcie nauki owe popadły u wielu w pogardę. A jednak one badają rzeczy ważniejsze od tych, któremi fizyka i historja naturalna się zajmują. Do ich zakresu bowiem należy zbadanie własnej, najwewnętrzniejszej naszej istoty.

Aby w nich módz osiągnąć rezultaty podobne do rezultatów nauk przyrodniczych, trzeba się uciec do podobnych środków. Trzeba skromnie poprzestać na opisywaniu.

Otóż faktem stwierdzonym, faktem zarówno w fizycznym jak i w moralnym świecie obowiązującym, faktem niezawodnym jest to, że podobne rzeczy zawsze się znachodzą w towarzystwie podobnych. Po jednej odkopanej kości można odgadnąć naturę zwierzęcia, do którego należała, a gdy się podobną przyczynę widzi, oczekuje się podobnego skutku, po podobnym skutku domyśla się i uczony i człowiek zwyczajny, że musiała go podobna przyczyna poprzedzić. Bochenek chleba dowodzi zawsze istnienia piekarza i piekarni.

Dzięki temu prawu, zadanie nauki opisującej uproszczone zarazem i uświetnione. Nie potrzebuje ona już opisywać wszystkich pojedyńczych istot. Starczy jej opisać jednę, by o wszystkich podobnych pouczyć. Po jednym pojedyńczym objawie może odgadnąć cały szereg zjawisk; staje się nauką klasyfikacyjną i nauką odgadującą i przepowiadającą. Staje się pomocnicą sztuk i wyższem zbiorowem doświadczeniem ludzkości.

I estetyk tedy chcący piękno poznać, nie potrzebuje wszystkich pięknych rzeczy z osobna opisać. Opisze pewną ilość wybitnie pięknych rzeczy, a będzie znał wszystkie im podobne.

Piękność musi być własnością jednej tylko albo kilku rzeczy, będących czasem w połączeniu z najróżnorodniejszemi przedmiotami. W obrazie nie jest pięknem płótno, w poemacie nie papier i nie pismo lub druk w podziw wprawia. Nauce estetyki winno tedy oto chodzić, by odkryć co właściwie i co głównie jest pięknem w pięknych rzeczach. Jeźliby się nam udało własności owe opisać, gdybyśmy poznali to co w najróżnorodniejszych przedmiotach piękno rodzi, wiedzielibyśmy o pięknie tyle, ile pono nauce o czemkolwiek wiedzieć dano.

O ciężkości wiemy, że jest własnością wszystkich ciał, że się ciała wskutek niej wzajemnie przyciągają, i że owa siła przyciągania wzrasta w miarę wielkości ciał i w odwrotnym stosunku do kwadratu ich oddalenia, i przyrodnik mówi, że wiemy dość.

Myśliciel podobnież powie, że wiemy dość o pięknie, gdy będziemy wiedzieli w jakich niezmiennych warunkach powstaje i jak na duszę działa.

W naukach moralnych istnieje jednak w metodzie opisującej jedna ogromna trudność stwierdzona najpierw w psychologji, ale nie mniej i w estetyce istniejąca. Uczony opisujący wrażenia zbyt często swoje tylko opisuje wrażenia, nie bacząc na to, że one mogą ulegać pobocznym wpływom. Badacz może nazwać piękną rzecz, która jemu się tylko podoba, albo może odwrotnie zamilczeć o rzeczy pięknej dla innych, a dla niego nijakiej albo nieprzyjemnej.

Niebezpieczeństwo to groźniejszem jeszcze

się staje, gdy zważymy, że zachodzi odmienność zapatrywań na piękno u różnorodnych narodów. Wydarzy się zawsze prawie, że uczony bezwzględnie pięknem nazwie to, co doma za piękne uchodzi. Ztąd powstanie jednostronna estetyka, gdyż być bardzo może, że pojęcia estetyczne są różne u różnych narodów, już wskutek samej odmiennej budowy ich mózgu.

I tu kończy się nauka metody pozytywnej. Odtąd zaczyna się doktryna pozytywnych estetyków, zostająca tu, jak wszędzie prawie, w sprzeczności z tem, co winno z ich metody wypływać. Zanim wszystkie fakta obejrzeli, oświadczają oni z góry, że są przekonani, iż się okaże, że i poczucie piękna da się zredukować do jakiejś czysto fizjologicznej czynności nerwów, i to uczucie będzie stanowczo różnem u rozmaitych plemion ludzkich.

A że wielu nie czuje pociągu do tych niedowiedzionych dotąd teoryj, nie jeden z tych, co się posługują metodą pozytywną, jest przeciwnikiem przedwczesnej pozytywnej doktryny. Wszyscy ci, którzy wierzą w odrębne istnienie duszy i w duchowną jedność rodzaju ludzkiego, nie składają bynajmniej broni wobec pozytywistów skrajnych i niekonsekwentnych, i wreszcie obie strony szukają dowodów na poparcie swoich teoryj. Fakta mają tu świadczyć i wszystkie obozy szukają skwapliwie za faktami. Materjaliści, którzy się często niewłaściwie pozytywistami przezywają, twierdzą, że badania estetyczne okażą zupełną różnorodność poczucia piękna u różnych ludów; spirytualiści liberalni przeciwnie twierdzą, że uczucie piękna jest u wszystkich ludów zupełnie takie same, ściśli wreszcie kościelni chrześcijanie głoszą, że uczucie to pierwotnie jednakowe u wszyskich, podobnie jak uczucie moralne, przez grzech pierworodny skażeniu uległo, i że tylko przez chrześcijaństwo do najwyższej czystości wróconem bywa. Wszystkie trzy stronnictwa z góry swe zdania wygłosiwszy, szukają skwapliwie za faktami na poparcie tychże, i nietylko sztukę wszystkich czasów i narodów, ale nawet najdziwaczniejsze obyczaje dzikich i na pół cywilizowanych ludów z podziwienia godną pilnością wyszukują. I tu tedy, w tak spokojnej niegdyś dziedzinie piękna, toczy się, podobnie jak we wszystkich dziedzinach życia i nauki, gwałtowna walka między chrześcijaństwem, liberalizmem spiritualistycznym i materjalizmem, walka, która jest główną treścią dziejów naszego stulecia, i od której rozstrzygnienia los przyszłej ludzkości zależy.

Nie myślimy się bynajmniej puszczać w wielki wir powszechnej walki. Ani sił, ani czasu, ani miejsca, by nam na to nie starczyło. Myślimy tylko zająć się zmysłem estetycznym wymarłego już narodu, którego poczucie piękna zadziwiające, i na każdy sposób, technicznie dla wszystkich zarówno ludzi podziwu godne dzieła wydało. Studjum to krótkie tem bardziej przyciągające, że tu już, jeśli gdzie, grunt przez sumienną i bezstronną naukę dostatecznie zbadany, że tu wątpliwości nie ma, i że obraz estetycznego życia owego narodu da się w wielkiej mierze jasno wykończyć. A interes wzrasta jeszcze, gdy zważymy, że dzieła sztuki owego narodu na całą przyszłą europejską sztukę potężny wpływ wywarły. Każdy domyślił się już, że mamy na myśli naród grecki.

Mówiliśmy przed chwilą, że tu nauka najwięcej już może zdziałała. Nie idzie jednak zatem, by można dać zupełny obraz estetycznej działalności Hellenów. Dwie sztuki staro-greckie są dla nas prawie zupełnie nieznane, mianowicie malarstwo i muzyka. Muzyki domyślać się tylko możemy, a o malarstwie mamy słabe wyobrażenie dane przez opisy Plinjusza i Pauzanjusza, i przez Pompejańskie kopje starogreckich arcydzieł.

Pozostają tedy trzy sztuki dobrze nam znane. Niemi są budownictwo, rzeźbiarstwo i poezja. W nich to pozostawiła nam grecka starożytność świadectwo o tem, co wedle niej pięknem było. Do tych sztuk wreszcie możnaby dodać prozę nadobną i wymowę, i wszystkie te sztuki razem dałyby nam zupełnie jasny obraz wielu stron estetycznego życia starożytnej Grecji. Zostałyby tylko na zawsze zamkniętą księgą dla nas pojęcia Helleńskie o harmonji tonów i barw.

Ale nie myślimy tu wcale prawić o całej dziedzinie greckiego, przechowanego nam piękna. Chcemy tu tylko o tem pięknie mówić, które jawi się w tem cośmy przywykli przedewszystkiem sztuką nazywać: o rzeźbiarstwie i budownictwie. A do tego wyboru powoduje nas ta okoliczność, że te dwie sztuki bezpośredniej do nas przemawiają od dzieł umarłej już mowy, i że one najlepiej przekonują codziennie szerszą europejską publiczność o tem, że jej smak nie o wiele odbiegł od smaku starych Hellenów. Owe to dzieła przyczyniły się najsilniej do rozpowszechnienia zdania, że choć mamy to samo poczucie piękna co starożytni Helleni, nie umiemy go tak dobrze zadowolić; przekonanie, które wyrażamy najczęściej uświęconym frazesem, że sztuka u Greków bardziej jak u nas kwitła.

I znów nie myślimy powszechnego katalogu dzieł starogreckiej sztuki podawać. Nie wymienimy nawet wszystkich rzeźbiarzy i budowniczych umarłego narodu. Naszym celem będzie jedynie przedstawić, jak się uczucie piękna u Greków rozwinęło w plastyce i w budownictwie, jaką rolę w rozwoju ich sztuki odegrało uczucie, a jaką rolę odegrał rozum, jak i dla czego smak ich się zmieniał, i wreszcie w czem do innych ludów, a zwłaszcza do nas byli podobni, i w czem nie podobni pod względem poczucia piękna, i w czem winni być wzorem dla dzisiejszej sztuki wobec dzisiejszego smaku. (C. d. n.)

Gawęda o gwiazdce.

Sic itur ad astra.

Zawieszona na błękicie,
Gwiazdka mała —
Brylantową rosą skrycie,
Łez płakała.
Bo żal było gwiazdce biednej,
Gwiazdce lotnej,
Opuszczonej siostry jednej
I samotnej.
Która losów przeznaczeniem
W przestwór pchnięta —
Urągała światłu cieniem,
Jak wyklęta.
Blasku dać nie mogąc sama,
Ni promieni,
Zwisła niby czarna plama
Wśród przestrzeni.

* * *

Pójdę do niej rzecze rzewnie,
Pójdę w gości;
Ona jeszcze zbłądzi pewnie
W tej ciemności.
Ona może płacze z cicha
Nad swą dolą,
Ona więdnie i usycha,
A łzy bolą.
I tak żaląc się niebogi,
Gwiazdka mała,
Po gościńcu mlecznej drogi,
Poleciała.

* * *

Wśród gwiazd świetnych miljona,
Na sklepieniu,
Krąży jedna pogrążona
W wiecznym cieniu.
I choć tylko zlepkiem gliny
Jest napewno,
Pragnie świetnej tej drużyny.
Być królewną...
Gwiazd nieznane kołowroty,
Łowi w sidła,
I swym siostrom na ich loty,
Daje skrzydła!
Dumna szkłami astrologa
Mędrków mnóstwem
Woła głośno: „Nie ma Boga,
Jam jest bóstwem!“

* * *

Otoczywszy światłem główkę,
Drżąca cała,
Szła do ziemian na wędrówkę,
Gwiazdka mała.
Niosąc w zamki, dwory, chaty,
Chęć usłużną:
Tchnienie prawdy, blask oświaty,
Lecz naprożno..
Bo gdzie blask jej dobiegł boży,
Wszędy, wszędy —
Każdy zbył się jej czem skorzej,
Jak przybłędy...
Każdy zgromił gościa z nieba,
Koniec końcem:
„Że mu światła nie potrzeba,
Bo on słońcem.“

* * *

Zadziwiona, zawstydzona,
Gwiazdka mała.
Znów w błękity do gwiazd grona,
Uleciała...
I dziwiła się wraz z niemi
Niedaremno...
Że choć tyle słońc na ziemi,
A tak ciemno!

Władysław Bełza.

Gabryel Conroy.

Romans

BRET HARTA.

Tom pierwszy.

ROZDZIAŁ I.

Zewnątrz.

Śnieg. Wszędzie, jak okiem zajrzeć, stanąwszy na najwyższym ubielonym szczycie i zwróciwszy się ku południowi — na pięćdziesiąt mil, śnieg w około wszędzie. Śnieg zapełnia wąwozy i szczeliny, a spadając ze ścian *kanonu* *) tworzy jakby białe całuny; wzgórza w dolinie wznoszące się przeistacza w ogromne mogiły; osłania pnie olbrzymich sosen, a młode jodły i modrzewie

*) *Canon* nazywają się w Górach Skalistych (Rocky-Mountains) doliny ze trzech stron otoczone górami, do parowów więcej aniżeli do dolin podobne. P. T.

całkiem zakrywa; brzegi cichego i spokojnego jeziora przeobraża w porcelanowe ściany i w kształcie białych nieruchomych fal zlewa się z krańcami widnokręgu. Śnieg zaległ kalifornijskie Sierry 15 marca 1848 roku — i ciągle jeszcze pada.

Dziesięć dni padał, to w kształcie drobnych ziarnek, to wilgotnych gąbczastych płacht, to puchu delikatnego; sypał się nieprzerwanie z nieba ołowianej barwy, jakby wytrząsany z szarych obłoków długiemi prostemi smugami... A zawsze spokojnie! spokojnie! Lasy tak były przytłoczone śniegiem, gałęzie tak nim przeciążone, ziemię i niebo tak zapełnił i tak całkowicie objął w swe posiadanie, tak miękko wysłał skały i pagórki odbijające echo, i tak je osłonił, że wszelki głos zamierał. Najsilniejsza burza, najgwałtowniejszy wicher nie wyrywał żadnego westchnienia ani jęku z pomiędzy drzew śniegiem spowitych... Nie słychać było ani skrzypienia sęków, ani łamania się gałęzi; przeciążone jodły i sosny uginały się i łamały bez rozgłosu... Milczenie było ciągłe, nieskończone, bez granic.

Żaden ślad życia ni ruchu nie przerywał odrętwiałego spokoju tej samotnej miejscowości. W górze żadnej gry światła i cieniów, tylko od, czasu do czasu ściemniało się wskutek nadciągającej burzy, lub nadchodzącej nocy... na dole żadnego ptaka, unoszącego się nad białą powierzchnią; żadnego zwierza szukającego schronienia w ciemnych lasach. Cały zwierzęcy świat, zamieszkały w tej pustyni, dawno już wyniósł się w dalsze miejscowości. Nie można było znaleść ani śladów kół, ani najlżejszego śladu stopy ludzkiej... a gdyby jakakolwiek istota zabłąkała się na tę śnieżną płaszczyznę, to śnieg natychmiast zasypałby ślad jej... Co rano ukazywała się taka samotność dziewicza i nietknięta... miljony drobniutkich płacht zawiewały i zakrywały ślad wszelki... A jednak, wśród tej grobowej pustyni, w samem sercu tej surowej śnieżnej przestrzeni, znajdowały się oznaki ludzkiej działalności.

Przy wejściu do kanonu leżały ścięte drzewa, świeżo odarte z kory, lekko tylko śniegiem przykryte. Mogły one służyć za drogoskazy do innego drzewa, którego pień, siekierą z kory ociosany, przedstawiał grubo siekierą również wyrąbaną rękę, na kanon wskazującą. Pod ręką znajdował się czworograniasty kawał żaglowego płótna, starannie do drzewa przybity, na którem umieszczono następujący napis:

Uwiadomienie.

Oddział osadników kapitana Conroy zabłąkał się w śniegach i obozuje w tym kanonie. Brak mu wszelkiej żywności i głód cierpi.

Z St. Jo *) wyszedł 8 października 1847 r.
Słone Jezioro opuścił 1 stycznia 1848 r.
Tu przybył 1 marca 1848 r.
Bydło nasze straciliśmy nad rzeką Platte.
Wozy nasze porzuciliśmy 2 listopada

Pomocy!!

Nasze nazwiska.

Joe M' Cormick,	Joanna Brackett,
Piotr Dumphy,	Gabryel Conroy,
Paweł Devarges,	John Walker,
Gracya Conroy,	Henryk March,
Olimpia Conroy,	Filip Ashley,

Marja Dumphy.

(Poniżej zaś, drobniejszem pismem, ołówkiem):

Mamie 8 listopada w Sweetwater zmarła.
Minnie 1 grudnia w Echo-canon zmarła.
Joanna 2 stycznia w Salt-Lake zmarła.
James Brackett zaginął od 3 lutego.

Pomocy!

Cierpienie nie jest usposobione do kunsztownych i wystudjowanych zwrotów; sądzę wszakże, że żadna retoryka nie zdołałaby ułożyć wymowniejszego ogłoszenia. Pozostawiam więc je tu takiem zupełnie, jak było na pół przykryte wilgotnym śniegiem w owym dniu 15 marca 1848 r. pod również śniegiem obsypaną ręką, która jak palec śmierci, uporczywie i nieruchomo wskazywała na fatalny kanon.

Koło południa burza przycichła i od strony wschodniej niebo rozjaśniło się nieco. Odkryte wzgórza znowu stały się widzialnemi w swych posępnych zarysach, a stężała biała pochyłość góry poczęła połyskiwać... Na pochyłości tej poruszało się coś ciemnego, to na czworakach, to prosto, to znowu zataczając się, jak człowiek pijany, ale zawsze w kierunku kanonu; na pierwszy rzut oka trudno było odgadnąć, czy było to zwierzę, czy też ludzka istota... Gdy się przybliżyło przekonywamy się, że jestto mężczyzna, fizycznie ostatecznie złamany i znękany, otulony w starą w szmaty rozpadającą się bawolą skórę, ale zawsze mężczyzna i przy tem energiczny. Człowiek młody, pomimo zgarbionej postaci i ledwo poruszających się członków, człowiek młody, pomimo przedwczesnych zmarszczków, które niedostatek i ciągły niepokój wyryły mu na czole i przy kątach zaciśniętych ust, człowiek młody pomimo cierpkiego wyrazu twarzy, który nędza na młodocianem rozpostarła obliczu.

Doszedłszy do drzewa przy wejściu do kanonu, otrząsnął on śnieg z „uwiadomienia“ wypisanego na żaglowem płótnie, a potem znużony i z sił opadły oparł się na chwilę o pień. W tem zupełnem wyczerpaniu całej jego istoty zawierało się jednak coś takiego, co ogromne jego znękanie uczyniło jeszcze wybitniejszem i nie mogło być ostatecznie wyjaśnione powodami zewnętrznemi.

Wypocząwszy, pospieszył on dalej z nerwowem wytężeniem, zataczając się, utykając, przystając i poprawiając na nogach z gruba wyrobione z kory obuwie, ciągle mu z nóg zsuwające się,— ale ciągle podążał naprzód z gorączkowością człowieka, który sam wątpi by mu starczyło siły woli dla osiągnięcia celu.

O milę poza drzewem, kanon zwężał się i zwracał lekko w kierunku południowym. Z tego miejsca widać było lekki obłoczek wznoszącego się dymu, który zdawał się wychodzić ze szczeliny w śniegu. Gdy mężczyzna podszedł bliżej, ukazały się tu i ówdzie świeże ślady stóp ludzkich. Do koła pagórkowatego wzniesienia, z którego teraz wyraźnie było widać wychodzący dym, śnieg był odmieciony. Tu wędrowiec stanął, lub mówiąc dokładniej położył się przed otworem w śniegu i wydał słaby głos. Odpowiedziano mu głosem jeszcze słabszym. Następnie nad otworem ukazała się twarz i postać, jak on sam łachmanami okryta, gramoląca się na powierzchnię; za nią wystąpiła druga, potem znowu jedna i jeszcze jedna; w końcu ośm ludzkich postaci męskich i kobiecych otoczyło go w śniegu i przysiadło do koła po zwierzęcemu. Postacie te zdawały się na podobieństwo zwierząt pozbawione wszelkiego poczucia przyzwoitości i wstydu.

Były one tak znękane, zmizerowane, wynędzniałe i tak litość wzbudzające swym ludzkim pozorem, lub raczej tem co im z ludzkiej powierzchowności pozostało, iż widząc je tak przykucnięte można było zapłakać. Były one tak zezwierzęcone, tak niesforne, tak pozbawione rozsądku i tak dziwaczne w podobnym niewłaściwym ludziom stanie, iż możeby komu i uśmiech wywołały na usta. — Pierwotnie byli to tak zwani osadnicy, po większej części należący do tej klasy społecznej, u której szacunek dla samej siebie zawisł więcej od stosunków, stanowiska i otoczenia, aniżeli od wewnętrznego przekonania i umysłowej siły. Wszelkie poczucie wstydu zatarło się u nich wskutek zupełnie jednakowego położenia i jednakowych cierpień; wewnętrzna strona nie dawała im nic w zamian za znane dawniej a dziś niedostępne materjalne roskosze. Zdziecinieli bez właściwego dzieciom popędu do samodzielności; byli to mężczyźni i kobiety bez godności i prostoty mężczyzn i kobiet. Wszystko co ich wznosiło ponad zwierzęta, w śniegu przepadło. Nawet charakterystyczne cechy płciowe zaginęły. Stara sześćdziesięcioletna kobieta gderała, biła i klęła wyrazami i z ruchami właściwemi nieokrzesanemu chłopu; młody człowiek szkorbutycznego usposobienia płakał, wzdychał i doznawał napadów hysterycznych jak kobieta. Znękanie ich było tak głębokie, że nawet obcy człowiek, który ich wywołał na zewnątrz, pomimo całego swego wycieńczenia wydawał się należącym do innej klasy społecznej.

Wszyscy byli słabi na umyśle i nieporadni; jedna kobieta zdawała się iż zupełnie utraciła rozum. Trzymała ona na ręku zwiniętą wełnianą kołdrę, mającą przedstawiać dziecko — było to wspomnienie dziecięcia, które na kilka dni przedtem umarło na jej rękach z głodu. Teraz, siedząc kołysała je, z wzruszającem przekonaniem. Ale jeszcze bardziej wzruszającem było to, że żaden z jej towarzyszy współczuciem i ubolewaniem nie okazywał, by go obchodziło podobne szaleństwo. Gdy kobieta po kilku chwilach zawołała by cicho się zachowali, ponieważ „dziecko spi,“ spojrzeli na nią obojętnie i dalej wiedli rozmowę. Czerwonowłosy mężczyzna, siedzący na kawałku bawolej skóry, raz tylko rzucił na nią wzrok przenikliwy; ale już w następnej chwili widocznie zupełnie zapomniał o jej obecności.

Nieznajomy stał przez niejaki czas w milczeniu, więcej dlatego by odetchnąć aniżeli w oczekiwaniu, by zwrócono na niego uwagę. Potem wymówił jedno słowo:

— Nic!

— Nic! wszyscy jednocześnie powtórzyli to słowo, ale bardzo różnemi tonami: jeden cierpko, drugi ponuro, inny głupio, inny znowu mechanicznie. Kobieta z dziecięcą lalką powiedziała do niej: „On mówi nic!“ i uśmiechnęła się.

— Tak jest, nic — powtórzył nieznajomy. Wczorajszy śnieg znowu zasypał wszystkie ślady. Ogień na szczycie góry wypalił się. Zostawiłem zawiadomienie na rozstajnej drodze. — Zrób to raz jeszcze Dumphy, a rozpłatam ci łeb na dwoje, przeklęty!

Dumphy, czerwonowłosy, potrącił i uderzył kobietę z dzieckiem, gdy ta do mówiącego chciała podejść bliżej. Była ta jego żona, a podobne małżeńskie obejście się zdawało się być u nich we zwyczaju. Kobieta jak gdyby nie zwracała uwagi na uderzenie i uderzającego. Nieczułość, z jaką ci ludzie wszelkiego rodzaju obrazy przyjmowali, wzbudzała więcej wstrętu, aniżeli współczucia. Wszakże gdy kobieta podsunęła się aż ku młodemu człowiekowi, powiedziała z przekonaniem.

*) Saint-Joseph, miasto w stanie Missouri, stacja wychodźców do Oregonu, Kalifornji i t. d.

— Więc jutro.

Twarz młodego człowieka przybrała wyraz łagodniejszy, gdy udzielał też samą odpowiedź, jaką od ośmiu dni dawał na takież same zapytanie.

— Jutro zpewnością.

Kobieta poczołgała się nazad, starannie przytrzymując lalkę, którą poczytywała za umarłe swe dziecko, i znikła w otworze.

— Zdaje mi się, że w ogóle nie wiele osiągasz twojemi wiadomościami, zdaje mi się, że i ty nie wiele wart jesteś! rzekła grubym głosem inna kobieta, złośliwie zgrzytnąwszy. Czemu kto inny z was nie wyjdzie zamiast tego Ashleya, dlaczego siebie i swoich żon życie jemu powierzacie? ciągnęła dalej coraz donośniejszym głosem.

Hysteryczny młody człowiek, Henryk Conroy, który tuż koło niej siedział, zwrócił ku niej wychudłą swą twarz i jak gdyby obawiał się być wciągniętym w rozmowę, szybko znikł tą samą drogą co żona Dumphy'ego.

Ashley ruszył ramionami i zwracając się więcej do całej grupy, aniżeli do pojedyńczej osoby, powiedział krótko:

— Jest tylko jedno wyjście, jednakowe dla wszystkich, otwarte wszystkim. Wszyscy je znacie. Pozostawanie tu — to śmierć. Udanie się dalej nic gorszego nie przyniesie.

Podniósł się, zrobił powoli kilka kroków głębiej w kanon, gdzie widać było inne podobne do wzgórza wzniesienie i znikł z oczu. Po jego odejściu rozpoczęły się głośne narzekania pozostałych.

— Poszedł, poszedł, ażeby zobaczyć starego doktora i pannę! My dla niego nic nie znaczymy!

— Dwóch, to zawiele w naszem towarzystwie.

— Tak, tak, ten warjat doktor i Ashley.

— A właśnie sami wcisnęli się.

— Tak, tak!

— Ja zaraz powiedziałem, że przyjęcie ich nie przyniesie nam szczęścia.

— Ale kapitan sam zaprosił starego doktora, i cały jego pakunek w Sweetwater na wozy złożył; Ashley także przyniósł wszystkie swoje zapasy.

Tym kto mówił był M' Cormick; gdzie niegdzie jeszcze w jego ciasnem sumieniu okazywała się iskra poczucia słuszności. Był on głodny, lecz nie bezrozumny. A przytem z tęsknem ubolewaniem przypominał sobie doskonałość tych zapasów, które Aschley wniósł towarzystwu.

— A ten co chce? wrzasnęła Brackett. Z nim przyszło nieszczęście. Czy mąż mój nie umarł? A ten bydlak, ten człowiek, całkiem obcy, czyż jeszcze nie żyje?

Głos był męski, ale logika żeńska. W chwilach wielkiego upadku na duchu, lub próżni, która poprzedza śmierć z głodu, lub z wyczerpania sił, taka logika miewa niekiedy wielkie powodzenie. Wszyscy przystali na to i zdolności myślenia wszystkich znalazły się w tak rzadkiej harmonji, że każde pojedyńcze zdanie było zgodne. Głosiło ono: Niech go Bóg potępi!

— Cóż myślisz robić?

— Gdybym była mężczyzną, to wiedziałabym.

— Zabić go!

— Udusić i...

Ostatnie słowa tego ostatniego frazesu zatracone zostały dla innych, przeszły bowiem w poufne szeptanie między panią Brackett i Dumphym. Po takiej wzajemnej wymianie zaufania, oboje usiedli i poczęli kiwać głowami, jak dwie różne ale zupełnie pod względem brzydoty podobne do siebie pagody.

— Patrzcie tylko, jaką on ma siłę! a nie jest człowiekiem pracy jak my, powiedział Dumphy. Powiedźcie mi, czy nie ma też właściwie kto z was...

— Czego?

— Czegoś do z j e d z e n i a.

Ale i najtłustsze czcionki nie są w stanie wyrazić potężnego nacisku położonego na ten ostatni wyraz. Nastąpiła straszliwa pauza.

— Chodźcie, zobaczymy.

— I uczynimy go milczącym, dodała miła pani Brackett.

Z zajęciem, prawie do entuzjazmu dochodzącem, porwali się wszyscy. Ale uszedłszy kilka kroków naprzód, nie mogli podążać dalej. I teraz wszakże nie mieli tyle szacunku dla samych siebie by pozostało w nich poczucie wstydu, lub żalu. Zatrzymali się wszyscy, z wyjątkiem Dumphy'ego.

— Co to był za sen, o którym niedawno mówiłeś? — zapytał M. Cormick, siadając najobojętniej, zapomniawszy o wspólnie powziętym zamiarze.

— O jedzeniu w St. Jo? — zapytał ten, do którego zwrócone były te wyrazy, gentleman, którego obfita fantazja w przedstawianiu roskoszy lukulusowych zarazem błogo i dręcząco na teraźniejsze koło jego słuchaczów oddziaływała.

— Tak!

Z pośpiechem wszyscy przysunęli się do M' Cormicka, nawet Dumphy zatrzymał się.

— A więc, począł March, zaczęło się od befsteku z cebulą, befsteku, jak wiecie, soczystego, w grubo krajanych kawałach, z sosem i cebulą, powiadam wam.

Widocznem było jak słuchaczom ślina na język przychodziła, a March, obdarzony wysokiemi zdolnościami opowiadacza, pod pozorem że zapomniał początku opowiadania, powtarzał zakończenie:

— Z sosem i cebulą, powiadam wam, i z ziemniakami... pieczonemi.

— Pierwej mówiłeś ze smażonemi i tłustością polanemi, zauważyła pani Brackett.

— Dla tych którzy lubią smażone ale pieczone lepiej smakują; a do tego kiełbasa, i kawa, i pączki.

Przy tem czarodziejskiem słowie wszyscy uśmiechnęli się, wprawdzie niezbyt radośnie, lecz pełni oczekiwania i zawołali:

— Dalej!

— I pączki!

— Już to raz powiedziałeś! krzyknęła gwałtownie pani Brackett. Dalej! do wszystkich djabłów!

Opowiadacz tej uczty poznał niebezpieczeństwo swego położenia i obejrzał się za Dumphym. Ten jednak znikł.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

(*Mignon. Nowella napisał Wandycz. Nakładem Wł. Bełzy we Lwowie 1876.*)

Pod powyższym tytułem, w bardzo szykownem wydaniu, urodziła się mała książeczka, o której warto słów kilka powiedzieć nie tyle przez wzgląd na jej wartość wewnętrzną, ile przez wzgląd na to, że jest ona pierwszym płodem literackim młodego pisarza.

Książeczka ta niezawodnie daje świadectwo o zadatkach talentu w młodym autorze, ale daleko głośniej świadczy o chorobliwym kierunku jego wyobraźni. Już sam wybór tematu na to: autor obrał sobie za bohaterkę i główną postać nowelli kopję Mignon'y Goethego, owej chorej, tajemniczej, niedopowiedzianej istoty, którą sentymentalizm 19 wieku szczególnie sobie upodobał.

Lewes w swojem dziele o Göthem powiada, że wielu malarzy siliło się na odwzorowanie tej nieuchwytnej postaci na płótnie, ale że wszelkie próby nie udawały się. Pan Wandycz, któremu malowniczości języka odmówić nie można, zapragnął także po swojemu odmalować tę postać, ale nie był szczęśliwszym od owych malarzy.

Daje nam wprawdzie dokładny obraz jej powierzchowności; dowiadujemy się, że miała duże, szafirowe oczy, w których jej kochanek mógł widzieć „głębie fal jeziora“ i „dalekie smętnie zadumany step“ i „blask zachodzącego słońca“ i, czemu już trudniej uwierzyć — mógł dosłyszeć nawet szum jodeł (str. 77); dowiadujemy się dalej, że miała jasne, prawie popielate włosy, które z przodu do czoła przycięte szeroko, niebieska wstążka więziła; że wreszcie była chorobliwie bladą a ponsowe jej usteczka ciągle się do smutnego składały uśmiechu. Ale to wszystko nie objaśnia nam bynajmniej patologicznego stanu jej duszy. Mignon smutną jest — bo jest smutną, i na tem koniec. Tylko stosunek do matki pobieżnie nakreślony, rzuca odrobinę światła na usposobienie Mignon, ale i ta odrobina niknie w tajemniczym zmierzchu, otaczającym postać bohaterki.

Autor widocznie kocha się w tajemniczości i uważa ją za główny pierwiastek poezji. Nie dość mu było obrać sobie za bohaterkę tak tajemniczą postać jak Mignon, stara się ją jeszcze otoczyć rozmaitemi tajemniczemi wspomnieniami. Czytelnik spotykając je, dziwi się, ale ufa, że prędzej czy później znajdzie ich rozwiązanie, przekonywa się jednak w końcu, że autor nie uznał za stosowne wytłumaczyć się przed nim ze swoich tajemniczych półsłówek i półwspomnień.

Tak n. p. bohater, opowiadając wrażenia swoje na widok portretu Jadwini, czyli Mignon, zaczyna od tego: „Wreszcie stanąłem przed portretem Jadwini. Zaparłem oddech w piersiach... Czy się bałem, by mi nie uciekła, jak wtedy przed burzą...“ Kiedy to była owa burza nie nie wiemy, i nie dowiadujemy się aż do końca. Autor parę razy jeszcze wspomina o burzy, i o piorunie, który „zahuczał,“ ale wprawiając tem czytelnika w największe zakłopotanie, bynajmniej nie objaśnia rzeczy.

W istocie możnaby myśleć, że autor chce zażartować z czytelnika, gdyby nie to, że ton nowelli jest tak elegiczny, iż odpędza wszelką myśl podobną. Już to gdyby potrzeba było krótko określić manierę p. Wandycza w tej powiastce, to należałoby ją nazwać pływaniem w sentymentaliźmie. Bohater nowelli, opowiadający dzieje swego romansu i Mignon, jest tak na wskroś sentymentalnym, że nie potrafi najprostszej rzeczy o sobie powiedzieć bez przybrania pozy smętno poetycznej.

Ale daremnie, nie wzruszy tem nikogo. Sentymentalizm przeżył się i może dziś figurować w powieści chyba jako pierwiastek komiczny. Miejsce jego zajęły nieurojone, prawdziwe smutki

i boleści życia — obszar rozległy, z którego powieść przez tysiąc lat czerpać może i nie wyczerpie.

Spodziewać się należy, że i autor, zapłaciwszy niniejszą nowellą haracz sentymentalizmowi, opuści niebawem jego manowce i zejdzie na realny, bity gościniec ludzkiego życia, by na nim szukać dla siebie tematów. Życzyć tego należy tem bardziej, że już w niektórych ustępach swojej Mignon dał autor dowód, iż mu nie brak daru spostrzegawczego. Drugorzędne postacie są pobieżnie, ale zgrabnie narysowane, djalog, jeżeli nie jest zbyt sentymentalnym, odznacza się przyjemną elegancją, język wreszcie jest świeży i czysty, jakkolwiek pod wpływem sentymentalizmu musi być naturalnie nieraz przesadnym.

J. T.

POGADANKI.

I.

Skończyła się nareszcie kanikuła, tak nieznośna u nas o tej porze roku; zimniejszy wiatr powiał od północy, całodzienny deszcz zwilżył ziemię spragnioną, a z tym wiatrem i z tym deszczem rozpoczęła się prawdziwa wędrówka narodów. Przed kilku tygodniami kto mógł uciekał do wód lub w góry; właściciele tabularni wyjeżdżali na „swoje własne świeże powietrze:“—studenci i nauczyciele używali wakacyj, a nawet podpisany brodził po błotach samborskich, udając że strzela krzyki i bekasy, których nie było. Z nastaniem pory chłodniejszej wszystko powraca na zimowe leże, z czego Lwów prawdziwie uradowany, bo przez dwa miesiące niesłychanie w nim było pusto i głucho.

Dziatwa w towarzystwie rodziców i hałatowych faktorów błąka się po ulicach, szukając „stancji i wiktu;“ hotele nabite, a księgarnie pootwierały drzwi na oścież, wszystkich w gościnę zapraszając. Biedne te księgarnie! Jeżeli dotychczasowe stosunki piśmiennicze dłużej u nas potrwają, jeżeli kraj nie otrząśnie się z apatji, cała Galicja, nakrywszy się c. k. *Gazetą Lwowską*, uśnie snem z którego jej nie obudzi nawet trąba Archanioła.

Młodzież szkolna z zadowoleniem ogląda gmach przy ulicy Halickiej, który miasto dla niej wystawiło. Gmach prawie skończony, i z rozpoczynającym się rokiem szkolnym, jedna część uczącej się młodzi zasiądzie w jego salach przestronnych. Nie powiemy by budowa cała, mająca pomieścić gimnazjum Franciszka Józefa, jak wiadomo najliczniejsze w Galicji, i szkołę realną, była pod każdym względem doskonałą, ale czy pod słońcem jest co doskonałego? Dziękujmy więc Bogu, że mamy nareszcie budynek osobny, i że klasy pojedyncze nie będą potrzebowały mieścić się jak dotąd po rozmaitych domach prywatnych, co w wysokim stopniu utrudniało nauczanie i naukę.

Strona zewnętrzna gmachu szkolnego jest wcale znośną, choć mówiąc między nami nie byłoby zaszkodziło, gdyby była piękniejszą. Fasadzie brak sztuki, stylu, powiemy nawet charakteru. Usiłowano wprawdzie zrobić fronton okazalszym, ustawiając u góry posągi naszych wielkich uczonych — ale nadzwyczajny ten dodatek nie wiele pomógł całości. Uczeni stojący we framugach są podobni do Świętych pańskich, a pochylone ich głowy robią ich monotonnymi. Pojmujemy że p. Barącz, uwzględniając wysokość, z której Kopernik, Mickiewicz, Śniadecki i inni będą na Lwów spoglądali, tudzież rozmiary figur pojedynczych, musiał im głowy ponaginać, w razie bowiem przeciwnym patrząc z dołu widzianoby tylko nogi i tułowy — ale dla czego budowniczy nie zastanowił się wpierw nad tem wszystkiem? Złemu nie trudno było zaradzić, umieszczając posągi bądź na samym szczycie, bądź nieco niżej, co wymagałoby niewielkiej u góry ornamentyki, bądź nareszcie robiąc figury znacznie większemi. Stało się jednak, ale dziś o to się starajmy, by z czasem front gmachu szkolnego został stosownie pomalowany. Gdy to nastąpi, i tło framug będzie znacznie ciemniejsze, białe posągi lepiej będą odbijały. Natomiast dziś jest wszystko monotonne, bo prawie równo białe.

Z powodu znacznej wysokości, podpisy pod posągami są tak małe, że tylko bardzo silne oko może je odczytać. To też nie dziwiła nas odpowiedź pewnego Lwowianina krwi najczystszej, gdy na pytanie swego przyjaciela, kogo te figury mają przedstawiać, rzekł:

— E, to takie wielkie ludzie co we Lwowi do szkoły chodzili!

* * *

Buda przy ogrodzie miejskim znowu pusta. Dyrekcja teatru wyniosła się z niej do gmachu Skarbkowskiego, gdzie już codzień odbywają się przedstawienia. Z przyjemnością zauważyliśmy, że amfiteatr nie świeci więcej pustkami, co nie tylko amatorów sceny rozwesela, lecz także artystom otuchy dodaje. Kilka dni temu z cyklu dawnych komedyj Aleksandra Fredry widzieliśmy znowu trzy: *Przyjaciele*, *Nikt mnie nie zna* i *Nocleg w Apeninach*. W pierwszej grali bardzo dobrze pani Nowakowska i p. Linkowska, ale pp. Woleński i Kwieciński nie byli w swoich rolach. Druga wypadła zadowalająco. Co do trzeciej, jest to mała farsa, pełna śpiewek i dość komicznych sytuacyj, które doskonale wyzyskał p. Stanisław Dobrzański, grający rolę szarlatana. Wprawdzie z tej postaci zrobił on Francuza zamiast Włocha, lecz mimo to całość kreacji była dobrą, z czego publiczność szczerze była uradowaną. Muzykę do *Noclegu* skomponował p. Jarecki. Chociaż znawcy nie bardzo się nad nią unoszą, utrzymując, że wielki w niej brak melodyj, z drugiej jednak strony przyznają, że instrumentacja jest piękną. Trudno by wszystko było doskonałe, i aby p. Jarecki był już dziś Moniuszką. Poczekajmy.

Mówiąc o tem przedstawieniu, musimy wytknąć dyrekcji jednę nieuwagę. Oto pozwala ona czasem na wybryki, które szkodzą przedstawieniu. I tak pani S. w roli Rozyny ubrała się tak króciutko, że aż nie pięknie. Ależ *Nocleg w Apeninach* to nie *Piękna Helena!* Niech nam wierzy pani S. skromność nigdzie nie szkodzi, nawet na scenie. Jest nadzieja, że po ukończeniu cyklu starych komedyj Fredry, ujrzymy na scenie lwowskiej pośmiertne utwory tego autora. Jeżeli nam prawdę powiedziano, dyrekcja naszego teatru otrzymała już od rodziny zmarłego poety pozwolenie na ich przedstawienie. Zanim to nastąpi, możeby dyrekcja postarała się wpierw o najnowszą komedję Wł. Anczyca, *Emigracja chłopska*, którą w Warszawie z wielkiem dają powodzeniem. Wszak wychodźtwo włościan do Ameryki, to temat będący na porządku dziennym życia ludu galicyjskiego.

* * *

Z Rzymu donoszą, że na klasycznej ziemi włoskiej, odbędzie się w r. 1880 wystawa powszechna. Jakieś towarzystwo francuskie projektuje urządzenie wystawy na dolinie Tybru we wiecznem mieście. Ani chwili wątpić nie można, że wystawa powszechna w takiem mieście jak Rzym, i w takim kraju jak Włochy, powiedzie się jak najlepiej. Świetną była ostatnia paryska, i świetną będzie następna, bo aby świat zjeżdżał się na wystawę, potrzeba nietylko wielkiego gmachu z nagromadzonemi w nim przedmiotami, ale przedewszystkiem miasta pięknego i wesołego, któreby miało siłę przyciągającą, tudzież potrzeba narodu pod każdym względem cywilizowanego. Warunków tych nie miała Austrja i dlatego wystawa wiedeńska fiasco zrobiła; nie ma ich Filadelfja, której przedewszystkiem brak piękna, i dla tego Europa nie bardzo się w tym roku spieszy za Atlantyk; żadnego z tych warunków nie posiada wreszcie Berlin, i dlatego dobrze zrobił ks. Bismark, że rozstał się z myślą urządzenia wystawy w stolicy swojego państwa, bo co tam, to z pewnością nikt by był nie pojechał. Jak smutną jest cywilizacja niemiecka, o tem pono przekonali się wszyscy w tym roku we Filadelfji. Rzym ma natomiast wszelkie warunki mogące przyciągnąć nie krocie, lecz miljony. Śliczny kraj, cudowne miasto, boski klimat.

Jeśli więc szczęśliwie dożyjemy, w r. 1878 damy sobie rendez-vouz w Paryżu, a we dwa lata później w Rzymie.

Józef Rogosz.

Kronika naukowa.

Od dość dawnego już czasu zajmuje się ministerjum niemieckie wojny znalezieniem środków przynoszących ulgę koniom ciągnącym wielkie ciężary i jednocześnie usuwających niebezpieczeństwo przerwania części łączących konie z wozem. Otóż niedawno zwrócił tam na siebie powszechną uwagę tak zwany „Pferdeschoner“ niemieckiego wynalazcy, inżyniera Fehrmanna. Nowy wynalazek został zastosowany i próby wykazały jego zupełną praktyczność.

Po ogłoszeniu rezultatów prób w Niemczech i Belgji spotkaliśmy we francuskich „Debatach“ energiczną reklamację pierwszeństwa wynalazku dla p. Marey'a, zasłużonego francuskiego profesora w Collége de France.

G. Marey od dawnego już czasu zajmuje się badaniem sił zwierzęcych i najpraktyczniejszem ich zastosowaniem. Otóż zauważył on, że wszystkie zwierzęta, gdy ciągną ciężary, czynią to nie jednostajnie, lecz z przerwami. Po silniejszem pociągnięciu następuje mała przerwa; linka do której wóz jest przymocowany raz się napręża, to znów wolnieje. Łatwo to zauważyć szczególniej przy powolniejszym ruchu. Te targania męczą bardzo zwierzę i usunięcie ich jest koniecznością. Usunąć zaś je jest bardzo łatwo, trzeba tylko między koniem a wozem wstawić jakiś środek sprężysty np. pasy z kauczuku lub też sprężyny. Wtedy zwierzę robiąc wysiłek rozciąga naprzód ciało elastyczne, które nagromadza w sobie siłę, następnie w chwili kiedy koń po-

*

oli ciągnie, kauczuk lub sprężyna ściągają się iowu i zużytkowują nagromadzoną w nich siłę ı ciągnienie woza w czasie chwilowej bezczyn· ości konia. W ten sposób siła konia jest lepiej użytkowaną, i wóz porusza się daleko jedno- ajniej. Te wywody teoretyczne zostały stwier- one doświadczeniem. Marey zbudował wózek sprężynami i w asfaltowanej alei ogrodu ıksemburskiego odbyły się próby. Okazało się, że oszczędzono w ten sposób 26% pracy. Zaraz ıtem zbudowano i większe wozy, a doświad- enia z niemi czynione potwierdziły pierwotne óby.

„Wynalazek“ pana Fehrmana, o którym le hałasu robią teraz w Niemczech, nie jest cale nowy, bo wspomniane doświadczenia Ma- ya pochodzą jeszcze z r. 1873.

Spodziewać się należy, że wprowadzenie yliczonych wyżej rezultatów w powszechne życie, nie każe długo na siebie czekać.

* * *

Na wystawie filadelfijskiej w oddziale hi- pańskim, w sekcji mineralogicznej wystawione pnie z drzewa, które z powodu wielkiej za- artości miedzi nazywają „drzewem miedzia- m“. Drzewa te rosną w pewnym zakątku Hi- panji, na ziemi, która też wielki procent mie- i zawiera i z której miedź tę wydobywają celach górniczych. Obok tego drzewa leży na ystawie koło zębate zrobione z miedzi, którą ydobyto z jego tkanki po spaleniu na popiół.

Przyroda wydając na świat drzewo praco- ała syntetycznie. Ze składników w ziemi znaj- ıjących się wytworzyła powoli istotę organi- ną, żyjącą. Człowiek pracuje zaś odwrotnie, ıalitycznie. Nagromadzoną siłę i materję przez ırzyrodę rozdziela i zużytkowuje je do własnych elów. Najprzód wystawia pień drzewa w zam- niętem naczyniu na działanie ognia, którego to ımo drzewo dostarcza. Z naczynia wychodzą ıane produkty suchej destylacji a pozostaje wę- iel, który może być użyty do dalszej destylacji, ż póki po nim zostaną tylko popioły. Z tych areszcie popiołów wydobywa się miedź, z któ- ej zrobiono wspomniane wyżej koło zębate.

Mamy przed sobą jednę z kart odwiecznej istorji życia: ciągły szereg składania i rozkła- ania, budowania i niszczenia, ciągła przemiana iły i materji bez straty najmniejszej odrobiny ıaterji i najmniejszej odrobiny siły.

* * *

A propos miedzi, nasuwają się nam na ıyśl ciekawe poszukiwania Sarzeau jeszcze r. 1858. Badał on szczegółowo, ile miedzi za- artej jest w chlebie, który Francuzi na pokarm żywają. Ludność Francji wynosiła wtedy 30 mi- onów; każdy mieszkaniec zjadał na dzień prze- iętnie funt i 5 uncyj chleba dziennie, czyli wszyscy razem zjadali 39 milionów funtów na obę. W tej ilości zawiera się według Sar- eau 12 funtów miedzi. Odpowiada to rocznej konsumcji 8030 funtów miedzi.

* * *

Wspomnieliśmy już parę razy w kronice ıaszej o dziwnych i ważnych odkryciach, które v ostatnich czasach porobiono w dziedzinie na- ıki o świetle. Mamy tu na myśli mechaniczne działanie promieni świetlnych. Przybywa teraz do tego działu nowy przyczynek, podany przez znanego paryskiego uczonego p. Pawła Berta, który się od dość dawna zajmuje badaniem przy- czyn zmian barwy u jaszczurek kameleonów. Puszczał w tym celu na to zwierzę światło barw najrozmaitszych i zauważył szczególny wpływ barwy fijoletowej. Jeżeli połowę kamele- ona wystawi się na światło czerwone, a drugą połowę na fijolotowe, przepuszczając promienie słoneczne przez szkła zabarwione, to część wy- stawiona na świa ło czerwone nie zmieni wcale swej żółtej barwy, gdy tymczasem część znajdu- jąca się pod wpływem światła fijoletowego stanie się czarno-zieloną. Zupełnie taką samą zmianę barwy otrzymać można podrażniając mecha- nicznie nerwy jaszczurki. P. Bert badając bliżej, co jest właściwie istotną przyczyną tej przemiany kolorów, przekonał się, że ciałka barwnikowe pod wpływem światła fijoletowego, lub też pod wpływem podrażnienia podnoszą się w górę, wychodzą z głębi, z ukrycia na powierzchnię. Wygląda to tak, jakby promienie fijoletowe po- siadały władzę przyciągania tych ciałek barwnych. Dopóki są one w głębi, barwa zwykła skóry, żółta, nie zmienia się wcale.

B. Kiewlicz.

Listy ze świata.

I.

Paryż d. 1. Sierpnia 1876.

Literatura dramatyczna angielskiego narodu, który ją dzięki jenjuszowi Szekspira, do tak wyso- kiej podniósł był doskonałości, w ostatecznym znaj- duje się dziś upadku. Teatra londyńskie żyją prawie wyłącznie powtarzaniem arcydzieł wspomnianego mi- strza, lub tłumaczeniem błazeństw francuskich. Śmiało twierdzić by można, iż wiek obecny nic oryginal- nego i godnego wzmianki nie postawił na deskach scen angielskich. Tak smutny stan rzeczy musiał nie- pokoić serca synów Wielkiej Bretanji, zakochanych w sławie swego narodu. Pan Tennyson, staruszek poeta, który jako pisarz elegij, ballad, sielanek, zna- komite wyrobił był sobie stanowisko, zatrwożony smutnem poniżeniem ojczystej Melpomeny, i w na- dziei zapobieżenia złemu w miarę sił swych a zdol- ności, pod koniec życia, by dać przykład młodszym, drżącą i nie oswojoną z rzeczą bierze się dłonią. „Królowa Marja“ (*Queen Mary*) jego wielki histo- ryczny dramat w pięciu aktach, wydany w końcu zeszłego roku w książce i mający wkrótce być przed- stawionym na scenie, oto zjawisko zaprzątające umy- sły wykształconej publiczności angielskiej, i o którem wam mówić zamyślamy.

Córka Henryka VIII z prawnego związku jego z Katarzyną Aragonką; małżonka Filipa II hiszpań- skiego, Marja Tudor, „Krwawa Marja“ jak ją prze- zwała Nemezis ludowa, to postać historyczna dość ciekawa, by skusić poetę-badacza.

Natchnęła też dwóch niepoślednich, i każdego inaczej, jak to zaraz zobaczycie.

Przed trzydziestu kilku laty Wiktor Hugo wy- brał ją za bohaterkę jednego ze swych dramatów. Lecz Wiktor Hugo nie wystudjował należycie ani charakteru królowej, ani epoki jej rządów, i stworzył rzecz absolutnie fikcyjną, niezgodną z prawdą dzie- jów, dającą absolutnie złe o nich wyobrażenie.

„Krwawa Marja,“ której zarzucić można było wszystkie występki, wszystkie wady: okrucieństwo, złość, ślepotę, zawziętość itd. z wyjątkiem jednej rozwiązłości; — „Krwawa Marja“ straszna mara reli- gijnego fanatyzmu, marząca o tem tylko jedynie, jakby grzechy rodzica obmyć we krwi zamęczonych here- tyków; „Krwawa Marja“ mistycznie rozkochana w brzy- dzącym się nią i stroniącym od niej Filipie, ta ko- bieta w dramacie Wiktora Hugo jakąś namiętną jawi się Messaliną, czułych Włocha faworyta (postać fikcyjna) słucha andronów; dla Włocha tego publi- czne zaniedbuje sprawy i zdradzona przez niego, jak niegdyś ojciec jej swoje żony, tak ona niewiernego kochanka posyła pod miecz katowski.

Dość otworzyć pierwsze lepsze dzieło histo- ryczne, traktujące o wspomnianej epoce, aby się prze- konać, jak dalece podobny wizerunek królowej nie zgadza się z tem, czem ona była w istocie.

Nie sądzimy, by poeta miał prawo fałszować w ten sposób prawdę charakterów historycznych, tak dokładnie ocenionych i zbadanych, zwłaszcza jak ten, o którym mowa. Nie sądzimy, by poeta miał prawo względnie do potrzeb swej fikcji, przedstawiać Nerona jako filantropa, Aleksandra Macedońskiego lub Ju- ljusza Cezara jako tchórzów itd. i dla tego wspomnia- nemu dramatowi Wiktora Hugo, oprócz pięknej formy żadnej innej nie przyznajemy wartości.

Zobaczmy czy p. Tennyson lepiej z tego sa- mego wywiązał się zadania.

Na samym początku przyznać mu musimy da- leko sumienniejsze obchodzenie się z prawdą histo- ryczną i jej wymaganiami. Szacunek dla tych ostat- nich posuwa Tennyson daleko, być może, że nawet za daleko, bo aż do zupełnego pogardzania dziedziną fantazji, do zupełnego obchodzenia się bez jej posług, tak zbawiennych nieraz w poezji. Jest to z jednej ostateczności wpadać w drugą, i dramat Tennysona w skutek tego na rymowaną wygląda kronikę.

Epoka, którą on opisuje, zakopcona dymem sto- sów, zalana potokami krwi męczeńskiej, nie przedsta- wia ani jednej jaśniejszej strony, ani jednej oazy lepszego, bardziej człowieczego uczucia, któraby po- zwoliła uwadze słuchacza zmęczonej okropnościami bez liku, odpocząć i zamarzyć przez chwilę. Tutaj to właśnie fantazja, fikcja, użyte w miarę, bez fał- szowania historji, korzystną dla dramatu mogłyby odegrać rolę. Na posępnem tle istotnych wypadków dziejowych, obok postaci historycznych narysowanych z skrupulatną wiernością, jakaś wysnuta z wyobraźni sielanka miłośna, jakiś szkic romansowy, nie tylko nie zepsułyby strasznej całości obrazu, ale owszem, uwydatniłyby jego grozę. Nie znajdując nic podo- bnego w całym dramacie, widz jest zmuszonym roz- rzewniać się słuchając smętnych ubolewań Marji nad obojętnością gardzącego nią i stroniącego od niej Filipa. Zgódźcie się sami, iż to nie wystarcza. By matrymonjalna niedola królowej rozrzewnić nas była w stanie, potrzeba wprzódy, byśmy zapomnieć mogli o wszystkich okrucieństwach przez nią popełnionych, o wszystkich wyrokach śmierci, podpisanych jej dło- nią, boleśnie załamaną. Inaczej lament jej wyda nam się żałośnem wyciem hijeny, po pożarciu niewiem już jakiej ilości owieczek puszczającej się w sentymen- talne skargi na nieczułość stroniącego od niej wilka. Daremnie Tennyson w wiernopoddańczych uczuciach dla tronu stara się uwydatnić głównie tę stronę cha- rakteru swej bohaterki. Daremnie usiłuje zakryć woalem nieszczęśliwej małżonki, popełnione przez nią zbrodnie. Historja, ta historja, którą on tak uszano- wał, że w fantazji nie chciał przeciwko niej żadnej szukać dywersji, przeszkadza mu w tej miłosiernej robocie. Pod jej posępnym podmuchem wspomniany woal usuwa się co chwila, pokazując widzom to- pór, pod którym młodzieńcza Joanny Grey stoczyła się głowa, to stos na którym Cranmera spłonęło ciało, i wszelkie w ich sercach nad opuszczoną małżonką ostudza współczucie.

Dramat na tem cierpi niesłychanie. Cały czar- nym malowany kolorem, smętne, irytujące wywiera wrażenie. Bądź co bądź pewien kontrast, pewne prze- ciw postawienie sobie dobrych i złych stron natury ludzkiej, koniecznemi są w układzie wielkiego dzieła sztuki i nie należy gardzić niemi zupełnie. W królu Lirze Szekspirowskim, obok ciemnych postaci Regana i Gonerilla, połyska jasna niebiańska postać Kordelji. W dramacie Tennysona widzimy okrucieństwo na- miętne uosobnione w Marji, fanatyzm chłodny w Fi- lipie, chytrość i hipokryzję w Elżbiecie, łaszenie się, jezuityzm w kardynale Pole itd. Lepszych, podnio- ślejszych uczuć nie widzimy w nikim i nigdzie. Jo- anna Grey nie gra w nim żadnej roli i wieść o jej śmierci okrutnej, dochodzi nas tylko w opowiadaniu. Postać Cranmera psuje rewokacja błędów uczyniona przezeń w zawiedzionej nadziei ocalenia się od zgo- nu. Jednem słowem, dramat cały to jakby galerja portretów rywalizujących z sobą brzydotą moralną. Jeśli odwzorowywana epoka żadnego piękniejszego autorowi dostarczyć nie mogła modelu, to dla czegoż

nie poszukał go w świecie fantazji? Powtórnie nam tego żałować przychodzi.

Z tegoż samego źródła wypływa i druga ważna usterka opisywanego utworu. Jest nią niefortunnie dokonany układ jego aktów. Zasadnicze prawo budowy tego rodzaju utworów wymaga, by zajęcie wzbudzone w słuchaczu zawiązką intrygi w pierwszym akcie, nie tylko nie słabło w następnych, lecz by przeciwnie szło ciągle crescendo aż do ostatecznego rozwiązania. Akt ostatni powinien być jakby bukietem fajerwerku, który się dramatem nazywa. Za długi, za nudny, za spokojny, następując po trzech czy czterech poprzednich, które rozgwarem akcji wyobraźnię słuchaczy do wysokiego rozgrzały stopnia, sprawi im wrażenie chłodnej kąpieli i całej sztuce nada podobieństwo do tych rzek środkowej Afryki, które szerokie i szumne u swych źródeł, u ujścia na drobne dzielą się strumyki i nurzają się leniwie w piaskach pustyni.

Dramatowi Tennysona śmiało to można zarzucić. Oto treść pierwszych czterech jego aktów: Posiedzenie parlamentu radzącego nad małżeństwem królowej z Filipem; przybycie tego ostatniego do Londynu; bunt Wyatt'a, zgoda z Rzymem i prześladowania religijne. Śmierć nakoniec Cranmera. Jak widzicie, widowisko dość ruchliwe i do energicznego przygotowujące nas epilogu. Tymczasem epilog ten oczekiwaniom wcale nie odpowiada. Wyjazd do Hiszpanji niemającego nigdy już wrócić Filipa, wieść o stracie Calais zdobytego przez Gwizjuszów, wspomniane wyżej lamenta opuszczonej królowej i prozaiczna śmierć jej z febry w łóżku, oto uboga treść jego, rozwałkowana na długie i mozolnie ciągnące się sceny.

Zbyteczne to hołdowanie prawdzie i zbyteczny rozbrat z fantazją takiego autorowi wyrządziły figla. Nie mógł on zapewne fałszować dziejów i kazać Marji umierać inną śmiercią niż tą, która rzeczywiście była jej udziałem, ale mógł zręcznie naprowadzonem rozwiązaniem jakiejś fikcyjnej intrygi, dodać konkluzji nieco więcej życia i ruchu. Mógł wreszcie przeciąć dramat w kulminacyjnym punkcie jego rozwoju, na śmierci Cranmera, resztę zostawiając domysłowi. Na co się zdało rymować kronikę? Na co się zdało szukać tragedji tam, gdzie jej nie masz w istocie? przy łóżku prozaicznie chorej, podeszłej niewiasty, która jakkolwiek nieszczęśliwa i opuszczona przez męża, okrucieństwami swemi na daleko sroższą zasłużyła ekspiację.

Nie zadamy sobie trudu analizowania drugorzędnych charakterów sztuki. Żaden z nich nie jest kreacją autora. Żadnego dobrze skombinowana nić intrygi nie przedstawia w nowem świetle. Zasuszone to kwiaty zielnika historycznego, bez dalszych preparatów, bez otrząśnięcia z nich nawet pyłu stuleci. Trupią więc uderzają sztywnością. Rzekłbyś figury woskowe z jakiegoś muzeum pamiątek z archeologiczną w szczegółach wykonane dokładnością, ale którym ich fabrykant nawet pozorów życia dać nie umiał. Wysuwają się machinalnie na scenę, mówią automatycznym głosem, co im historja mówić kazała i chowają się nazad za kulisami. Patrząc na nie, zaledwie że nam fałszów Hugonowskich żałować nie przychodzi. W dramacie Wiktora Hngo nie było zapewne istotnej „Krwawej Marji," lecz była jakaś inna żywa kobieta, fantazją poety pod te historyczne podszyta miano. W dramacie Tennysona jest „Krwawa Marja" jest „Filip lodowaty," „Chytra Elżbieta," „Krzepki duchem, krewki ciałem Cranmer," „jezuicki kardynał Pole" są oni wszyscy, lecz w formie nieżywych, zasuszonych mumij. Zapewne, co kto woli. Każdy ma prawo wyboru. Lecz my nasz aż do trzeciej zachowamy próby, aż do dzieła, które nie gwałcąc litery podań, zostawiając każdej historycznej postaci jej istotny tradycją przekazany charakter, potrafi jednak wskrzesić ją na dobre, i na tle martwych wspomnień żywą malując akcję, przysporzy nam chwilę złudzenia.

Że złudzenia tego wywołać nie może ani fantazja Wiktora Hugo, ani rymowana kronika Tennysona, o tem przekona się łacno każdy, kto pierwszy lub drugi z tych dramatów oglądać będzie na scenie.

(Dok. nast.)

Z wycieczki artystycznej

przez

F. K. Martynowskiego.

Opuszczając Sieniawę, zawadzamy o małą wioskę zwaną Dybkowem, co tuż pod miastem, w pośród lichego gruntu, osiadła na piaskach. Nie dla tego zatrzymujemy się w Dybkowie, że on dał początek Sieniawie, ani nawet dla jego ubogiej kapliczki, stojącej na miejscu starej świątyni, po której dzisiaj ledwo tradycyja została między ludem miejscowym, ale z powodu dużego cmentarzyska pogańskiego, któremu przyszło obecnie piastować godność gromadzkiego pastwiska... Spoglądając też na owe pagórki porozwiewane stosy żółtego piasku, ani byś się domyślił, że miejsce to miało niegdyś religijne znaczenie. A przecież tysiące ludzi spłonęło tu na stosie pogrzebowym, tysiące płaczek zawodziło po nieboszczykach, a iluż kapłanów pogańskich wznosiło ztąd modły ku bogom ojczystym. Dziś ledwo ułamki popielnic, potłuczone narzędzia krzemienne i warstwy popielne, pomięszane z węglem, same jedne świadczą o epoce tak już dawno przebrzmiałej...

Zdawałoby się, że ta nieurodzajna ziemia w czasach przedhistorycznych, jedynie lasem i pustką świeciła po nadsańskiem dorzeczu, a jednakże i ona roiła się ludem, co może nie wiele był uboższym od dzisiejszego mieszkańca. Niezawodnie rola tutejsza źle, a prawdopodobnie wcale nieuprawna, nie wyżywiłaby miejscowego ludu, więc San, nader zamożny w wodę, z hojną pomocą pospieszył. Po jego zatem modrych falach wznoszące się czółna i łodzie dźwigały na sobie kupców z dalekiego Wschodu, hen z po za Karpat spieszących z towarami ku Wiśle, macierzy rzek polskich, aż do sinego morza po bursztyn i inne bogactwa. A ówdzie znowu porzeczem zdąża jedna i druga gromadka jakichś nieznanych ludzi... a wszystko to brzemienne różnemi wyrobami bogatego przemysłu lub dziwną zbroją skryte... Jacy to byli goście, któż to odgadnie dzisiaj, po tylu wiekach i zdarzeniach tylu!... Ludność jednak miejscowa przypatrywała im się z ciekawością, zamieniała swoje lewary na ich kunsztowniejsze sprzęty domowego użytku, albo na oręż spiżowy mieniała swoje groty krzemienne. Nie rzadko znowu wzięła ich ochota za przykładem przybyszów — wyruszyć dalej już to falami Sanu, już to jego dorzeczem, by tam na północy dotrzeć do jakich skarbów, sprzedać korzystnie swoje wyroby rodzinne, lub poznać ludy obce i od nich się czegoś nauczyć. Takim sposobem domowe bogi łączyły się z obcymi bogami, a zarodki miejscowej cywilizacji jednocząc się z bogatym kultem Fenicjan i ludów, co berłu rzymskiemu uległy, wytwarzały z siebie nowe pierwiastki życia, wzbogacając nadsańskich mieszkańców.

Nie inne było znaczenie każdej większej rzeki w czasach przedhistorycznych; były one naturalnemi gościńcami, przez które biegły ludy rozmaite w różnych kierunkach, zaszczepiając po drodze pierwiastki swojej cywilizacji i przyjmując dla siebie miejscowego kultu objawy. Ścierające się zaś pojęcia i wyobrażenia wzbogacały umysłowo i materjalnie ziemie okoliczne, przez które większa rzeka drogę wybrała dla siebie.

I San miał takie znaczenie w pierwotnym cywilizacyjnym procesie. Jakoż dorzecza jego roiły się ludem, którego bogactwo przedhistorycznej doby nie było wcale mniejszem od dostatków mieszkańca urodzajnej gleby z nad Bugu i Warty. Każda wieś niemal staje tu z cmentarzyskiem pogańskiem, a wszędzie znajdziesz zabytki mówiące jasno o dosyć wysokiem uobyczajeniu człowieka tamtejszego z dohistorycznych czasów...

To też i nasz Dybków najlepszym jest tego dowodem. Oprócz bowiem, że przed dwoma laty znaleźliśmy na jego cmentarzysku mnóstwo narzędzi krzemiennych, wiele glinianych wyrobów pogaństwa i parę okazów bronzu: że wymienimy ładne szczypczyki, zostające obecnie w posiadaniu p. Wł. Czartoryskiego, parę miesięcy temu natrafiono tam na przepyszne okazy bronzu, jakie zaledwo po najbogatszych grobowiskach do tej pory zdobyto. Są to owalnego kształtu pierścienie, robione z walcowej sztaby spiżowej, nie zupełnie domknięte lub z końcami zakładającemi się na siebie spiralnie. Jeden z nich zwłaszcza największy, ważąc pięć funtów, posiada do 20 centymetrów średnicy. Znajdują się one w muzeum Sieniawskiem.

Pomimo, żeśmy rozglądali wiele tego rodzaju wykopalisk, przecież tak bogatych zdobień jak nasze, nie zdarzyło nam się nigdzie napotkać. Linja prosta wycinana, krótka i ułożona w grupy — oto i cały system zdobienia owych zabytków, a przecież mimo tej prostoty, dybkowskie wykopalisko nader powabnie przedstawia się oku. Polega tu wszystko na bogatej kombinacji w układzie linji, grupujących się po kilkanaście razem, a gdy jeszcze uwzględnimy rozmaite ich nacinania, wtedy całe powierzchnie owych pierścieni przedstawi się jakby obsypane drobną łuską misternego wyrobu. Nie znaleść na nich wprawdzie potoczystej linji, jak na wykopaliskach pochodzenia fenickiego, ale bo też dybowskie zabytki są niewątpliwie miejscowego wyrobu. Charakter ozdób najwymowniej przemawia za kultem rodzinnym, właściwym człowiekowi, co sam wydobywa z siebie artystyczne zjawiska, bez zapatrywania się na wzory obce.

Zadaleko byśmy odbiegli od właściwego zakresu niniejszych notatek, gdybyśmy chcieli oceniać znaczenie dybkowskich wykopalisk w dziedzinie przedhistorycznych zabytków; zapytajmy się więc lepiej o przeznaczenie owych bogatych pierścieni w życiu mieszkańca tej okolicy za dni ich cywilizacyjnego niemowlęctwa. I tu nawet niepodobna wyczerpać przedmiotu; od czasu bowiem, jak się zaczęto zajmować przedhistorycznym światem Europy, a temsamem i Słowiańszczyzny, tyle nastawiano wniosków i hipotez nad grobowemi wykopaliskami, że chcąc je rozebrać lub przejrzeć nawet, wypadłoby duży traktat o nich napisać. Więc nasze jedynie zapatrywanie na ową kwestję podajemy w tej notatce.

Przeglądając etruskie i starorzymskie pomniki, tak skrzętnie przez Lindenschmidta zbierane i ogłaszane od lat kilku w Moguncji, spostrzegliśmy na nich liczne z walcowej sztaby bronzu wykonywane pierścienie, zupełnie do dybkowskich podobne. Były one przyczepiane obok siebie do kaftanów skórzanych na plecach, bokach i piersiach starożytnych rycerzy, przez co taki kaftan zdobiąc się niemi, zyskiwał jednocześnie mocne opancerzenie przed silnem bronzowego miecza uderzeniem. Nie przeczymy, że wiele z tego rodzaju pierścieni służyło za branzolety i naramienniki ówczesnej płci nadobnej, większa jednakże ich część była użyta jako zbroja, choć to wcale nie przeszkadzało, że wypeł-

iała i ozdoby znaczenie. Pomimo zatem że Kiss hce widzieć w takich wykopaliskach przedhi-oryczne monety, pomniki etruskie świadczą za brojowem ich przeznaczeniem. Co więcej, kto-olwiek zastanawiał się nad bojowemi koszulka-i średnich stuleci, co je dzisiaj kolczugami zo-iemy, nie uszła pewno jego uwagi nader bliska h analogja, z owemi naszywaniami pierścieni ronzowych na skórzanych kaftanach etruskich ycerzy. Wiadomo nam, że kolczuga średnich ieków była pleciona z dużych dosyć metalo-ych kółek. Czyż jej charakter nie stoi blisko ader owych bronzowych uzbrojeń? Niech to m czytelnik rozważy, a my tymczasem idźmy lej w przechadzce.

Żeby się nie rozwodzić dłużej nad kwestją adsańskiego pogaństwa, powiemy tylko, że wiele ardzo śladów przedhistorycznego człowieka znaj-ajemy oprócz Dybkowa, w Leżachowie, Wyle-ie, Dobrej, Rudce, Głogowcu, słowem w całej olicy, do której i sławne cmentarzysko leżaj-ie należy.

Doprawdy, że aż nie miło spojrzeć na za-edbane cerkiewki w Dobrej i Rudce. Pierwsza ieś chyba przez ironję Dobrą nazwaną została; ydmy bowiem piaskowe, na których osiadła, cale nie świadczą o dobrodziejstwie gleby. To ż i cerkiewka tamtejsza, jak zwyczajnie, bizan-jskiego charakteru, tylko ubóstwem uderza zechodnia. A gdyby nie liczne podpory, to by ezawodnie i ten staruszek architektoniczny za-zebał się w piasku razem ze swemi kopułka-, co się w przegniłą słomę skwapliwie ubrały... rkiewka za to w Rudce nieco wyraźniej ry-je się na piaskowem wzgórzu „Starego sani-a.“ Wprawdzie i ona nie wiele nad ziemią ystrzeliła, zawsze pewnem bogactwem linji raca się do świata. Jej kopuły są dosyć pełne lobrze zachowane, a gdyby nie to, że dach tej iątyni nieledwo ziemi dosięga, posiadała by a w sobie spory dosyć zasób rozmaitości arty-cznej, wywołanej przez architektoniczne roz-onkowanie całej budowy. Ale trudno z tą wadą spotkać się w cerkiewkach, kiedy ona stano-ąc niejako główną charakterystykę pomników oskowej sztuki, nadaje im znamiona nieznośnej ążałości....

Z tej też przyczyny próżno byś się pytał iego pomnika i o wiek jego powstania; tylko ument errekcyjny mógłby nam to powiedzieć, gdzież go szukać w przelotnej wycieczce.

Jeśliś ciekawy czytelniku zobaczyć żywego glodyta, przeprawiaj się przez San pod Sie-wę. Patrz, oto przewoźnik brudny i obdarty kopał sobie jaskinię w ziemi i mieszka tam od wielu, jakby chciał tym sposobem ubogie tki wieśniacze połączyć z życiem przedhisto-znego człowieka. Masz tu i ognisko na środku ej nory rozniecone na glinianym podkładzie, z i drewniane sprzęty, pomiędzy któremi nie-wo byś znalazł i jakowe narzędzie kamienne. wnie doprawdy wygląda takie zjawisko wobec ilizacyjnych stosunków naszego stulecia, nie-pliwie też, gdyby który z niemieckich arche-gów zobaczył podobną siedzibę — zawołałby radości plemiennej, patrzcie, oto w Polsce Sanem, jeszcze dzisiaj troglodyci mieszkają...

Ale cóż robić, owemu przewoźnikowi widać dobrze w tej norze, zostawmy go tedy w spo-a, bo oto i Gniewczyna w stronie Przeworska iegła nam drogę. Ładna to wioska i duża, zątkiem swoim sięga dalekiej bardzo epoki, yorywane często na jej polach ponad Wisłokiem ładne krzemienne narzędzia, świadczą o zaludnieniu tego miejsca jeszcze w przedhistorycznym okresie dziejów naszych. Zwracają tu szczególnie uwagę malowidła ścian i powały nie dużego kościółka wzniesionego przed wiekami. Przedstawiają one różne arabeskowe wzory, kombinowane rozmaicie pasy i sceny przeróżne. Nie odznaczają się wprawdzie artystycznemi przymiotami, ale posiadają związek z wielu tego rodzaju malowaniami kościołów wiejskich, których początku wcześniej niż w XV stuleciu wypadałoby szukać. Malowania więc wnętrza kościółka w Gniewczynie mają wiele nader podobieństwa do takiegoż upiększenia świątyń np. w Grybowie jak to niebawem zobaczymy, lub starożytnym Parznie, wsi dużej, co trzy mile drogi od Piotrkowa trybunalskiego osiadła. Niektóre z takich malowideł wykonywane sposobem patronowym, większa ich część jednakże przez malowanie ręczne powstała. Parę lat temu mieliśmy sposobność zwidzania grobów znajdujących się pod kościołem Ś. Idziego w Krakowie, gdzie pomiędzy innemi napotkaliśmy trumny drewniane z XV wieku, okryte tego rodzaju malowidłami, jakiemi się przybrała gniewczyńska świątynia. Czyżby przeto i one miały tej epoki sięgać? Być może, jednak decydujące orzeczenie zostawiamy bliższemu przyjrzeniu się owym zabytkom kościelnego malarstwa. (C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Dzieła Teod. Tom. Jeża w pierwszem zbiorowem wydaniu. Tom IIIci. Historja o pra-pra-pra . . . wnuku. Lwów. 1876.

Większa część czytelników widzi w każdej powieści, mniej lub więcej udatnie zdjęty obraz z rzeczywistego życia pewnych indywiduów. — Nie miniemy się z prawdą, gdy wyznamy, że radzibyśmy ujrzeć, lecz niestety, nie znajdziemy nigdzie w rzeczywistości takiego życia, takich ludzi (myślemy o głównych postaciach), jakich antor odmalował w tem opowiadaniu swojem. Bo czyż istnieją dziś męże, obywatelstwo i patrjotyzm tak pojmujący i tychże obowiązki wykonujący, jak ów pan Chorąży z powyższej powieści? A uda się nam gdzie spotkać takich synów i młodzieńców jak Jan, syn Chorążego? Widzieliście gdzie, a przynajmniej bodaj zasłyszeliście o takich Hrynenkach? Pewni jesteśmy że nie . . . dla czego? — bo to ideały cudowne, każde z osobna, lub wszystkie razem jednę całość harmonijną stanowiące. Ideały powtarzamy, atoli nie z jakichś mrzonek niedoścignionych ulepione, nie stworzone chorobliwą fantazją pisarza, ale wymalowane przezeń z głęboką znajomością prawdy i intencją szlachetną, by służyły czytelnikowi za przykład i bodziec do pozyskaniu rzetelnego dobra. Tyle dziś ogólnikowo powiedzieć możemy o tej pracy; szczegółowy rozbiór odkładamy do chwili, gdy następny tom, a niby część druga całej powieści z końcem Września b. r. z pod prasy wyjdzie.

Francuska.

— La belle organiste. par M. Emile Richebourg 1 vol. — Decause. Paris — 1876.

Jeden z mieszkańców małej wioski legując w testamencie pewną sumę pieniędzy na zakupno organów, przeznaczył oraz dochód na utrzymanie przy miejscowym kościele młodej, najwyżej dwadzieścia lat mającej organistki, osobną zaś tajemną klauzulą wyposażał ją, w razie zamęścia, pięknem i dostatniem wianem. Wypływające z tąd różnorodne intrygi i barwne scharaktyrezowanie parafiańskich zazdrostek i namiętności, bawiłyby przyjemnie czytelnika, gdyby styl cokolwiek był staranniejszym w tej powieści.

— Aniela, par M. le comte Wodziński 1 vol. Dentu. — 18. Paris — 1876.

W ramach krajobrazu sławiańskiego odgrywa się dramat miłości, namiętności i poświęcenia. Młode dziewczę umiera sądząc się opuszczonem przez swego młodego pana, który przysiągł pojąć ją za żonę a zgodził się tylko w dobrej wierze na chwilowy z nią rozdział naglony wolą ojca, mającego na celu odwrócić go od powziętego zamiaru. Rzecz opowiedziana dobrze i trzeźwo i wyróżnia się treścią od wielu innych.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura i sztuka.

— „Chorób Galicji“ zeszyt IV opuszcza właśnie prasę i na nim kończy się serja I, tworząca spory tom i całość w sobie zamkniętą. Pierwsze wydanie zeszytowe zostało w zupełności wyczerpane; w przyszłym tygodniu pojawi się wydanie drugie w tomie. Ponieważ autorem tego dzieła jest redaktor naszego pisma, przeto zrozumią czytelnicy, że sami o niem nic pisać nie możemy, co jednak nam nie przeszkadza przytoczyć słowa warszawskiego „Wieku“, który pisze o „Chorobach Galicji“: „Od kilku miesięcy ukazują się we Lwowie, nieperjodycznie, broszury bezimiennego autora pod ogólnym tytułem „Choroby Galicji“, w których są dotykane ostrem piórem rany ogólne tamtejszego społeczeństwa, a po części i całego społeczeństwa polskiego. Trzeci zeszyt tych „Chorób Galicji“, który ukazał się na widok publiczny temi dniami, mówi o „galicyjskiej arystokracji“ i o „pijawkach“ do których materjału dostarczył mu adwokacki świat galicyjski. Poglądy autora są trafne, a tendencja szlachetna; dowcip niepośledni, czasem gryzący aż do krwi... ale sprawiedliwie.“

— Otrzymaliśmy prospekt na „Towarzysza pilnych dzieci“, ilustrowane czasopismo dla młodzieży, mające z dniem 1. Października wychodzić we Lwowie pod redakcją p. Władysława Bełzy a nakładem połączonych firm księgarskich W. Bełzy — i Księgarni Polskiej. Głównem zadaniem redakcji będzie staranie, aby „z dzisiejszych dzieci wzrość mogli z czasem ludzie w pełnem pojęciu godności i celów człowieka.“ Zadanie to tak piękne, że z całego serca przyklasnąć mu możemy. Nawiązując do poprzedniej wzmianki naszej o „Towarzyszu“ w ubiegłym numerze „Tygodnia“ — życzymy temu pisemku, aby znalazło takie poparcie u naszej publiczności — na jakie zacne dążności redakcji w pełni zasługują.

— Nakładem księgarni Wł. Bełzy, wyszedł żarcik sceniczny napisany przez Nie-Napoleona III. p. t. „Życie Cezara“. Pod tym pseudonymem męża stanu, kryje się niepoślednie pióro, znanego powszechnie dramatopisarza.

— Wyszła z rzędu druga historyczna powieść J. I. Kraszewskiego, opowiadająca dzieje wieku X.

— Pani May, o której pierwszym występie na scenie naszej w dramacie ludowym „Dwie sieroty“ pisaliśmy na tem miejscu, debiutowała po raz drugi w ubiegłym tygodniu w komedji Scribego „Walka kobiet“. Występ ten przekonał nas, że pani May może z powodzeniem występować w komedji salonowej. Szczególnie dobrze wypadła scena z prefektem w akcie II. — Tego wieczora witaliśmy także po dłuższem niewidzeniu p. Fischera, który wrócił z urlopu. Rzęsiste oklaski publiczności przekonały tego artystę, jak nam jest sympatycznym.

— O występach panny Reszke, Warszawianki, w teatrze wielkiej Opery paryskiej, a właściwie „narodowej Akademji muzycznej“ pisze *Moniteur universel* z dnia 1 sierpnia rb. „Panna Reszke śpiewała wczoraj rolę Recheli w „Żydówce.“ Znawcy i publiczność nie szczędzili oklasków tej dzielnej i powabnej śpiewaczce, która pracą i wytrwałością zdobyła w Operze naszej pierwszorzędne stanowisko. Obecnie panna Reszke z prawdziwem powodzeniem wykonywa role najtrudniejsze z całego repertoaru i zajmuje miejsce, o które trudnoby było z nią się ubiegać. I nie dziw; z powabami piękności łączy głos świeży a potężny, którym umie władać doskonale. Jest w tej śpiewaczce owo coś nieokreślone, które porywa słuchaczy, a którego na scenie naszej Op[illegible] tak często brakowało śpiewaczkom dramatyczn[illegible] Panna Reszke występowała dotąd w Paryżu w [illegible] lach następujących: Ofelia (Hamlet), Matylda (W[illegible] helm Tell), Małgorzata (Faust), Walentyna (Hu[illegible] noci), Rachel (Żydówka.) Wkrótce ukaże się w [illegible]

Alicji, w „Robercie djable;“ próby z tej opery już się odbywają. W styczniu zaś ma być przedstawioną nowa opera Masseneta pt. „Król Lahory,“ w której utalentowana śpiewaczka główną rolę wykonywać będzie.“

— W teatrze warszawskim Tivoli, przedstawiła trupa poznańska po raz pierwszy d. 21. sierpnia, nową komedję Wł. Anczyca pt: „Emigracja chłopska“. Oto co o tem piszą z Warszawy: „Treść tej sztuki osnutej na smutnem tle galicyjskich stosunków jest taka: Do jednej z zamożnych wsi galicyjskich, której mieszkańcy żyją w grubej ciemnocie bez szkółki, bez oświaty, wciska się arendarz, rozpaja lud i za pomocą lichwy wyzuwa go z rodzinnej zagrody. Arendarz ten Szmul, wspierany przez włóczęgę Bartka Kozicę, wysłużonego austrjackiego żołnierza, skłania całą ludność do tego, że ta lekkomyślnie odstępuje swój grunt Szmulowi i zaprzedaje się w ręce szachraja i oszusta Szultza, który za cenę dwuletniego odrobku przewozi ją do Ameryki. Tu dopiero wyświetla się w całej swej grozie smutna rzeczywistość: niedola biednych emigrantów, ich żal i rozpacz po rodzinnej ziemi, jak również materjalna nędza, w której żyją, są straszne. Bóg wie, coby się z nimi stało, gdyby nie anioł pocieszyciel, który zjawia się w osobie syna dawnego dziedzica i kogo może, zabiera z sobą do kraju. Radośna scena przywitania opuszczonej niedawno wsi kończy ten smutny obrazek upadku i ciemnoty naszego społeczeństwa na jego zachodnich kresach. Jak więc widzicie, zacna ze wszech miar treść najlepiej sama za sobą przemawia, zaś podwójnie zwiększa jej wartość wierne i dokładne pochwycenie ludowych typów, które żywcem, zdaje się, na deskach teatru występują. Charakterystyka tych typów nieporównana a życie i obyczaje ludu krakowskiego przedstawione z mistrzowską prawdą. — Akcja wprawdzie przedstawia wiele do życzenia, utyka szczególniej w dwóch pierwszych aktach, które wloką się za długo, ociężale i męczą słuchacza, ale zato trzy ostatnie i niektóre sceny pierwszych wywołują ogromne wrażenie. Tak scena w karczmie, życie w Ameryce, wigilia Bożego Narodzenia i śmierć jednego z emigrantów na obczyźnie, zdolne są podziałać na najchłodniejsze głowy. Szczególniej wigilia Bożego Narodzenia przedstawia się znakomicie, staje na wysokości dramatu i zaciera najzupełniej niezbyt korzystne wrażenie z pierwszych aktów. Nie potrzebuję wykazywać, jak wielką doniosłość ma ta sztuka dla was przedewszystkiem, zrozumialej przemówi ona do biednego wieśniaka, aniżeli tysiączne broszury, kazania i nauki; to też obowiązkiem waszym będzie podtrzymanie jej w repertoarzu. Tem poczuciem obowiązku kierowana, zebrała się tak licznie na „Emigrację“ warszawska publiczność, wyraziła swe uznanie dla zacnej myśli przewodniej autora huczną a serdeczną owacją. Wywoływanie p. Anczyca, oklaski, okrzyki przy podnoszeniu czapek i kapeluszy, powtarzały się po każdym akcie.“

— W Paryżu utworzył się komitet, z Victorem Hugo i Louis Blanc'em na czele, zamierzający uskutecznić wydawnictwo wszystkich dzieł Edgara Quineta. Wydanie to zawierać będzie nietylko prace, które Quinet wydrukował, ale i rękopisy pośmiertne wraz z odczytami jego, które miewał, będąc profesorem w Lyonie przy kolegium francuskiem. Autobiografie (histoire de nos idées) i korespondencje wielkiego myśliciela, zakończą to wydanie zupełne.

— Offenbach wykańcza książkę — tak donoszą dzienniki paryskie — która prawdopodobnie pojawi się równocześnie: w Paryżu po francusku, w Nowym Jorku po angielsku, a w Wiedniu po niemiecku, i nosić będzie tytuł: „Offenbach w Ameryce, szkice podróżującego muzyka.“

Podróże.

— W pierwszym numerze lipcowym francuskiego „Explorateur'a“ pomieszczono list margrabiego de Compiègne, generaln. sekretarza geograficznego w Kairze, zawierający świeże wiadomości o europejskich badaczach — podróżnikach nad Ogovany'em. O wyprawie francuskiej pod kierownictwem pana de Brazza, donosi autor listu, iż ta z 11 wyładowanych czółen swoich utraciła na wartkich wodach Ogovy'u siedm, i że prawdopodobnie z tego powodu zatrzymała się na jednem miejscu. Dowódca expedycji musiał uciec się do własnych zapasów materjałów podróżnych, broni, i t. p. by w ten sposób zapełnić luki, powstałe skutkiem strat doznanych. Compiègne apeluje o dalszą pomoc dla ekspedycji do paryskiego towarzystwa geograficznego.

— Wcale pomyślne wiadomości doszły do Londynu od wyprawy angielskiej, która niedawno ruszyła ku północno-zachodnim brzegom Afryki, celem zbadania, czy projekt zamiany pewnej części Sahary na jezioro, byłby wykonalnym. Zwidzono wybrzeże i odkryto w sąsiedztwie przylądka Juby wyśmienitą przystań dla lądowania. Krajowcy, z którymi się tu i ówdzie zetknięto, okazali się bardzo przyjaźnymi i skłonnymi do handlu.

— Wyprawa włoska do środkowej Afryki pod wodzą markiza Antinori, miała zaraz w początkach przykrą przygodę skutkiem nieprzyjaźnego zamanifestowania się gubernatora Zeili; musiała zatrzymać się, a nawet obawiano się zupełnego chybienia wszystkich po niej rezultatów; szczęściem prezydent rzymskiego Towarzystwa geograf. zwrócił się natychmiast do ministerjum spraw zewnętrznych o pomoc, i poczynienie odpowiednich kroków u rządu egipskiego, by cele naukowe ekspedycji nie zostały zwichnięte. Najnowsze o niej wiadomości są wcale pomyślne.

— Indyjskie dzienniki donoszą, iż 17 lipca, zatem równocześnie z zauważanem trzęsieniem ziemi we Wiedniu miało ono również miejsce w Indjach, a mianowicie w Simlah u stóp Himalaji, i w Mussurich.

— Seismograf w obserwatorjum na Wezuwju szu, nie był od kwietnia b. r. ani na chwilę zupełnie spokojnym, okoliczności tej odpowiadają wcale liczne trzęsienia ziemi zauważane w rozmaitych okolicach. Obecnie poczyna nowy krater Wezuwjusza groźniej działać, a seismograf coraz niespokojniejszy.

Wynalazki.

— Z wystawy przyrządów naukowych w Londynie zaczęła „Szkoła“ umieszczać sprawozdania swego specjalnego korespondenta, w których czytamy między innemi co następuje: „Do najznakomitszych okazów w dziale geometrji należą instrumenta p. W. Żmurki, profesora uniwersytetu i Akademji technicznej we Lwowie. Oprócz tych instrumentów znajdują się na wystawie z Galicji tylko jeszcze modele dwóch cyrklów p. Bodaszewskiego, technika ze Lwowa. Z pod zaboru pruskiego wystawił p. Giżycki, prof. politechniki w Akwisgranie, przyrząd do wyznaczenia niejednostajności obrotu wałów w machinach. Z pod zaboru moskiewskiego są dwa okazy polskie: p. Czechowicza z gimnazjum w Białymstoku, mianowicie instrument do oznaczenia spółczynnika do załamania światła dla ciał stałych i płynów, i przyrząd do okazania przewodzenia ruchu falowego. Oprócz tych przedmiotów nie znaleźliśmy nic wystawionego przez Polaków. Jeden szereg instrumentów p. Żmurki służy do opisywania elipsy, paraboli i hyperboli i nazywa się z tego powodu konografem, drugi zaś cykloidograf służy do kreślenia cykloidy zwyczajnej, mianowicie skróconej i wydłużonej. Przyrządy p. Żmurki znajdowały się na wystawie wiedeńskiej w r. 1873 i uzyskały nagrodę. Prócz instrumentów p. Żmurki znajduje się na wystawie bardzo wiele elipsografów rozmaitszych konstrukcyj, tudzież jeden hyperbolo- i jeden parabolograf. Hyperbolo- i parabolografy nie są jednakże właściwemi przyrządami do kreślenia krzywych, tylko mają unaocznić mechaniczne powstanie tychże, a parabolograf jest prawie wyłącznie machiną do nauki w szkole. Dlatego żaden z tych instrumentów nie wytrzymuje porównania z wynalazkiem p. Żmurki, a żaden z elipsografów angielskich, francuskich i niemieckich po dokładniejszem zbadaniu nie okazuje się przydatnym do użytku. Z prawdziwą przyjemnością wpisuję tu swoje zdanie co do tych przyrządów i dodam, że za pozwoleniem zarządu wystawy zbadałem dokładnie wszystkie instrumenta obcych wystawców, aby z niemi porównać przyrządy p. Żmurki.“

— W wiedeńskiem laboratorjum chemicznem Instytutu geologicznego, robiono w tych dniach próby z wynalezionym przez radcę górniczego Poterę, środkiem ochronnym przeciwko płomieniom. Jestto rodzaj pokostu, który, jak robione z nim próby przekonywają, opiera się najgwałtowniejszemu działaniu ognia, a praktyczne jego zastosowanie może być wieloliczne, jeżeli obok tego przymiotu posiada jeszcze i warunek, że jest tanim i łatwym w użyciu.

Szkolnictwo.

— Donoszą z Monachjum, że w tamtejszej politechnice, bardzo chlubnie ukończyło nauki dziesięciu Polaków, a mianowicie jako inżynierowie dróg i mostów: Cywiński Józef z Litwy, Fałęcki Ignacy z Królestwa Polskiego, Górkiewicz Czesław, Zgórski Longin z Królestwa Polskiego i Szabelski Konrad; jako inżynierowie chemicy: Rytel Cezar z Królestwa Polskiego i Au Władysław; z wydziału mechanicznego otrzymał patent Rotarski Józef; z wydziału zaś architektonicznego Szrajber Wiktor i Holcer Ludwik.

— Korespondent „Journal des Debats“, z Genewy donosząc o tamtejszej Akademji medycznej, oddaje wielkie pochwały rodakowi naszemu, p. Laskowskiemu, którego sprowadzono z Paryża na katedrę anatomji. Stawia on go w jednej linji ze sławnym Vogtem i Zahnem i winszuje Akademji takiego znakomitego profesora, jakim jest p. Laskowski.

— Na bankiecie w Mansion-house, danym przez lorda majora londyńskiego, dla blisko 200 członków i przyjaciół londyńskich instytucyj szkolnych, oświadczono, iż liczba dzieci uczęszczających do szkół wzrosła od r. 1872 z 174.301 na 288.497, wszystkich board schools przeszło 300 istnieje, a do przyszłego listopada przybędzie 181.000 miejsc dla uczącej się młodzieży. Więcej jak 5000 dzieci wzięto, że tak rzec można, z ulicy, i nauką ochroniono przed niechybnem może zbrodniczem życiem. Anglja — kończył przemowę prezes Sir Charles Reed — ugruntowała swój byt narodowy na znakomitym systemie narodowego wychowania, i przedstawia teraz u siebie przykład tak doskonałej oświaty elementarnej, że rywalizować może śmiało z najpierwszemi w tej mierze narodami Europy i Ameryki.

Różne wiadomości.

— I Włochy będą miały swoję wystawę powszechną, a to w r. 1880 w Rzymie. Pomysł ten wyszedł od pewnego Towarzystwa Francuskiego. Budynki wystawy stanęłyby w dolinie Tybru w pobliżu twierdzy Anioła. Oczywiście, że towarzystwo pomienione liczy na hojną pomoc Rzymu i Królestwa całego.

— Z Paryża donoszą, iż kilku senatorów i deputowanych protestanckiego wyznania porobiło wstępne kroki u ministra oświaty, celem założenia w Paryżu wydziału protestancko-teologicznego. Ze sprawozdania budżetowej komisyi Zgromadzenia narod. wypływa, iż przyzwolono kredyt 76000 franków na założenie w Paryżu takiego wydziału prot. teol. jaki był pierwej w Strassburgu.

— Od arcybiskupa z Bordeux przyszła już do Watykanu formalna propozycja, by ojciec św. spowodował rozprawę celem kanonizowania Krzysztofa Kolumba.

— Dniestr ma być oczyszczony z zawał wszelakich, jakie w łożysku jego zawadzają żegludze na przestrzeni od Żwańca do Benderu. Wydelegowano do tego pogłębiania p. Władysława Rodkiewicza, który świeżo dokonał przebudowy kanału Lepelskiego na Białorusi.

— „Tyfliski wiestnik“ donosi, że na Kaukazie w Markobi odkryto dwa słone źródła. Mówię, że mieszkańcy sąsiednich wiosek piekąc chleb, kubłami czerpią wodę z tych źródeł i używają jej do solenia ciasta.

Wielkie przedsięwzięcie.

— Kilkakrotne próby, zarządzone przez rząd niderlandzki, celem przekonania się o stosowności i pożyteczności projektu osuszenia południowych części jeziora Zuider'skiego, wypadły zupełnie pomyślnie dla tego przedsięwzięcia olbrzymiego. Liczne wiercenia i oględziny gruntu okazały, iż takowy będzie znakomitą rolą orną a dostarczy olbrzymiej, bo 195000 hektarów obejmującej przestrzeni.

Dżuma.

— Według ostatnich wiadomości z Persji, dżuma grasująca tam przed kilku miesiącami, która taką trwogą napełniła ościenne kraje, ustała prawie zupełnie. Ostatnie kilka wypadków dżumy przytrafiły się w początkach zm. w miejscowości Dehli, od tej zaś pory o pojawieniu się gdziekolwiek jeszcze tej strasznej choroby, nie ma żadnej wiadomości. Rząd egipski znosi zaprowadzoną od kilku miesięcy kwarantannę, toż samo także uczynić zamierza rada sanitarna w Konstantynopolu.

ROZMAITOŚCI.

— Niejaki pan Arnold Hilberg opisał w lipskiej „Gartenlaube" pobyt swój w Sadogórze i odwidziny u głośnego rabina tamtejszego. Dla braku miejsca nie możemy podać czytelnikom naszym całego owego artykułu, więc wyjmujemy zeń tylko niektóre szczegóły ciekawsze, odnoszące się do powstania żydowskiej sekty Chassydów, i obecnego jej naczelnika a pomienionego rabina. „Za przybyciem do Sadogóry — pisze p. Hilberg — udałem się wprost do mieszkania rabina. Za białemi sztachetami, okalającemi gustowną willę, duży ogród i synagogę, na obszernym dziedzińcu ujrzałem kilkusetny tłum brodatych i pejsatych pielgrzymów. Gdy przedarłszy się z wielkim trudem przez ciżbę dotarłem do pierwszych lepszych drzwi, stanął mi w drodze młody żydek, i nie puszczając dalej, zapytał czego żądam. Na odpowiedź, iż pragnę widzieć rabina, odparł mi, że to teraz niemożliwe, gdyż święty rabin spi a potem modlić się będzie, żatem musiałbym chyba czekać bardzo długo. Po długich targach obiecał mi. iż zaprowadzi mię do niego po upływie pół godziny. Tymczasem zaproponował mi obejrzenie ogrodu i synagogi, na co się chętnie zgodziłem. W obszernym ogrodzie, pełnym altan i szpalerów cienistych, roiła się może dwutysięczna masa synów Izraela, przybyłych z daleka dla oglądania oblicza „świętego" męża. Wszyscy patrzyli na mnie z ukosa, z podejrzeniem widocznem, jak to czynią zapewne dzicy Afrykani, gdy ujrzą nagle pośród siebie białego Europejczyka. Przewodnik mój, któremu snać zaimponowała stanowczość moja i śmiałość, torował mi drogę wśród tłumów, rozdzielając bez ceremonji w prawo i lewo kułaki wymowne. Niebawem stanęliśmy przed pięknym budynkiem w stylu maurytańskim, wyglądającym pozornie na mały zamek średniowieczny. Wysokie drzwi, piękną płaskorzeźbą zdobne, otwarły się i znalazłem się w sali modlitewnej rabina. Wysoka, przestronna w miarę, o czterech oknach sprawia przyjemne i bynajmniej nie ascetyczne wrażenie. Wszystkie cztery ściany są na wysokość prawie 7 stóp wyłożone płytami z masywnego drzewa orzechowego, wypełnionemi delikatną płaskorzeźbą, przedstawiającą festony, wieńce i girlandy. Oprawy okien i drzwi są z tego samego materjału i z równemi ozdobami sporządzone. Reszta ścian wyłożona bogatemi tapetami złocistemi, ze stropu, nie mniej gustownie ornamentowanego, zwisa olbrzymi świecznik kryształowy. Posadzkę parkietową pokrywa ciężki dywan perski. Biało lakierowane i czerwonym aksamitem obite fotele, elegancki stół bronzowy z płytą marmurową i pult z drzewa oliwnego, na którym leży pięknie pisany i w oliwne drzewo oprawny „sidur" (modlitewnik) stanowią całe umeblowanie salonu, przystrojonego, jak widzimy, ze smakiem i elegancją wielkoświatową. Naprzeciw drzwi wchodowych błyszczy całym skarbcem drogich klejnotów, osadzone w ścianie sanctuarium, tj. skrzynia Przymierza. Zasłona tej skrzyni ma bez wątpienia nieoszacowaną wartość pieniężną. Na tle czerwonego aksamitu wyhaftowane są złotym szychem tablice dziesięciorga przykazań, nad niemi unosi się korona królewska; całość podtrzymywana przez dwa lwy heraldyczne, pod niemi stoi olbrzymi świecznik siedmioramienny. Wszystkie kontury rysunku na tablicach, jakoteż litery przykazań, wysadzane są brylantami, a zliczyć te olbrzymie perły, szafiry, szmaragdy i rubiny, które zdobią koronę, lwy i świecznik, byłoby prawdziwem niepodobieństwem. Olśnionemu widzowi zdaje się koniecznie, że stoi w skarbcu jakiego władcy indyjskiego, podczas gdy to zaledwie częścią ogromnych bogactw „bogobojnego" arcykapłana Chassydów. Przewodnik mój jak gdyby się obawiał, bym oczyma nie pożarł bodaj cząstki tych bogactw, zaproponował bym przeszedł i oglądnął przyległą salę modlitewną, przeznaczoną dla pobożnego ludu Izraela. Przybytek ten nie nastręcza nic uwagi godnego, tak jednak urządzony, iż wielki rabbi nie widziany od pospólstwa, słyszy jednak bieg modłów i w złocistym swoim apartamencie, spoczywając na miękkim fotelu, wygodnie towarzyszyć im może. Z powrotem do pierwszej sali zastałem żyda mnie oczekującego. Powitawszy mnie niskim ukłonem oznajmił, iż rabbi pragnie otrzymać moją kartę wizytową. — „Cóż mu po niej, skoro czytać po niemiecku zapewne nie umie?"—wtrąciłem na chybi trafi. — „Choć on nie umie, umieją za to jego dzieci"— odparł mi posłaniec żargonem żydowsko niemieckim. Wręczyłem mu moją kartę, a za kilka chwil powrócił z oświadczeniem, iż „rabbi chętnie widzieć mnie pragnie." Tymczasem tłum koło domostwa mieszkalnego tak się zwiększył, iż zdawał się nieprzebytą zaporą. I rzeczywiście, mimo nawoływań moich przewodników do ustępowania mi z drogi dla przejścia, nie zdołałem postąpić ani na krok i musiałem powrócić do sali. Dopiero gdy z tłumu wyłoniło się kilkunastu meszorszim (parobków) pod wodzą kilku gaboim (domowych urzędzików rabina) przybyłych mi na odsiecz w tem oblężeniu istnem, mogłem wyruszyć, i krok za krokiem posuwając się z trudnością naprzód, przebrnąłem szczęśliwie tę powódź głów ludzkich. Dwaj gaboimi stojący u drzwi jak posągi martwe, otworzyli mi podwoje szybko i wszedłem do elegancko umeblowanego saloniku. Za chwilę stanąłem oko w oko naprzeciw rabina z Sadogóry, tego bałwochwalczo czczonego naczelnika sekty Chassydów, którego wiara i fanatyzm stutysięcznej rzeszy wyznawców otacza glorją iście nadziemskiej świętości i cudotwórczości, a sądząc go potomkiem Dawida i głową widomą plemienia izraelskiego, z jego rodu Mesjasza ujrzeć się spodziewa, słowem, stałem przed zadik'iem i bal schem'em tj. „sprawiedliwym" i „panem Bożym." Teraz słówko o założycielu tej sekty. Nie daleko od tej miejscowości, gdzie poznałem dzisiejszego zadik'a, w ubogiej jakiejś wioszczynie pomiędzy Kossowem a Kuttami, urodził się na początku 17 wieku niejaki Izrael. Rodzice odumarli go małem chłopięciem, i sierota żył z miłosierdzia mieszkańców wioski, nie pobierając nawet niezbędnej u pospólstwa żydowskiego nauki hebrajskiego języka i biblji. Dziwnem zrządzeniem Opatrzności zaskarbił sobie łaskę u starej znachorki miejscowej, i z nią włóczył się po lasach i górach za ziołami, przeznaczonemi na leki, jej towarzyszył w odwidzinach u chorych, od niej nauczył się pojedyńczej, choć często skutecznej ludowej sztuki leczniczej. Towarzysz ciągły znachorki, częstowany wszędzie kawałkiem chleba, wiódł żywot wędrowny; raz włócząc się z nią po chatach wieśniaczych, to znowu uganiając po lasach i górach. Takie życie rozwinęło w nim, z natury skłonnym już do egzaltacji, dziwną fantazję: gdy wśród borów śpiewał psalm jaki (a wyuczył się ich dopiero wyrostkiem) echa odpowiadające mu zewsząd brał za głosy aniołów — rozmawiał z niemi, słowem wmówił w siebie, że będąc obdarzonym jakąś szczególniejszą łaską Bożą, utrzymuje ze Stwórcą stosunek poufały, że jest wybrańcem jego wśród swiata. Gdy przyszedł do lat młodzieńczych, praktyczny zmysł Izraelczyka wziął górę. Ruszył na Podole, tam trudnił się zrazu furmanką, potem handlował końmi (zapewne kradzionemi) w końcu wydzierżawił szynk w Międzyborzu. Tu dopiero, mając zapewnionym byt materjalny, zaczął wśród współwyznawców głosić teorje swojego kapłaństwa. Gdy kilka razy powiodło mu się ziołami uleczyć chorych, kilka razy przypadkiem odgadł jaką rzecz przyszłą, ugruntował sobie u ciemnego tłumu żydowskiego sławę i wiarę w potęgę nadprzyrodzoną. Oryginalne były jego zapatrywania na religję swego zakonu. Utrzymywał, iż Bogu najmilszą modlitwa, przynoszona Mu śród śmiechów i wesołości. To też piekielne tany wyprawiano zawsze przy modłach w zaimprowizowanej świątyni nowego proroka. Rzecz dziwna, zasady jego znalazły wielu zwolenników, wkrótce tworzących olbrzymią liczebnie sektę. Gdy Izrael umarł (1750,) liczyła ona przeszło 10000 członków. Umarł biednym, bo bogate podarki znoszone mu zewsząd, drugą ręką rozdzielał pomiędzy ubogich. Synowie jego i zięciowie nie odziedziczyli jego sławy i czci półboskiej. Następcą jego zaś stał się człowiek, który poznał Izraela krótko przed jego śmiercią. Nowy naczelnik świeżej sekty zwał się Dob Beer; młodszy od tamtego o dwa lata, przeżył go o dwadzieścia kilka. Sławę i cześć poprzednika Dob umiał wyzyskać znakomicie na korzyść własną, myśląc o niej przedewszystkiem. Z Międzyborza przeniósł się na Wołyń, i ztamtąd w krótkim czasie szatańską swoją przebiegłością i rozumem, podbił sobie cały lud izraelski od Karpat aż po Ural. Przed bogobojnych pielgrzymów występował z powagą i namaszczeniem arcykapłana, przebrany od stóp do głowy w szaty śnieżne, fundamentalnym zaś artykułem jego religji były pidion'y tj. podarki bogate. One tylko torowały drogę przed oblicze „świętego" męża, z nich uzbierał miljony. Bajeczne rzeczy opowiadają o bogactwach wnuka Doba, Izraela, pierwszego rabina z Sadogóry. Pałac miał posiadać tak wspaniały, o jakich tylko opowiadają chyba niańki dzieciom. W stajni jego stały arabskie rumaki, jeździł w złocistej karecie, konwojowany zawsze przez konną po czerkiesku a bogato przebraną służbę. Nic też dziwnego, że występując z taką pompą, imponował nią ciemnym tłumom a wyzyskiwał je w najlepsze. Woźnica jego, który po każdej przejażdżce rabina, pozwalał niektórym rozfanatyzowanym sekciarzom usiąść jeno na koźle karety, zebrał z opłat za to „dobrodziejstwo" majątek kolosalny. Ciekawy fakt opowiadają o jednym Chassydzie. Straciwszy mienie przywlókł się z daleka o kiju żebraczym i z ostatnim półrublem w kieszeni, do rezydencji rabina Izraela. Oczywiście, tacy nędzarze przystępu nie mieli do „bogobojnego" proroka. Ten jednak zrozpaczony, oświadczył wręcz gaboimom, iż pierwej umrze z głodu u progów rabina, niżeli odejdzie, nie ujrzawszy jego oblicza. Doniesiono o fanatyku Izraelowi i ten kazał go przywieść. Zgłodniały i strudzony daleką drogą nędzarz padł na kolana przed rabinem, i podając mu w pokorze ostatniego półrubla błagał o błogosławieństwo. Pan Izrael, uwiedziony wspaniałomyślnością (sic) nie przyjął monety, ale zwrócił mu ją ze słowami pociechy, iż pieniądz ten przyniesie mu szczęście. Uradowany wyszedł, a gdy za chwilę wieść o słowach świętego męża rozbiegła się wśród kilkutysięcznych tłumów, naprózno oczekujących przed domem na wstęp do niego, znalazł się niebawem zabobonny nabywca, który za owego półrubla ofiarował właścicielowi 8000 rubli. Słowa rabina spełniły się — Chassyd odszedł bogaczem! Ten Izrael kazał razu pewnego w swojej obecności spalić żyda, który odważył się wyrzucać mu wśród zgromadzenia kacerstwo jego nauk i szalbierstwo oczywiste. Sprawa podniesiona przez rodzinę zamordowanego oparła się o Petersburg, złoczyńcę wpakowano do więzienia kijowskiego, zkąd po kilku miesiącach ulotnił się szczęśliwie, i przeniósł na Bukowinę do Sadogóry. Chassydzi twierdzą, że aniołowie wyprowadzili go z więzienia, reszta świata twierdzi słusznie, że nikt inny tylko ruble. Po jego śmierci (1850) arcykapłaństwo sekty objął syn jego najstarszy, dzisiejszy rabbi Abraham Jakób. Ten wiódł i wiedzie żywot nie mniej „bogobojny i ubogi" a spokojny, z wyjątkiem, iż przed kilką laty siedział 8 miesięcy w kozie Czerniowieckiej, mocno podejrzany o wspólnictwo w fałszowaniu rubli moskiewskich, a wypuszczony z niej „dla braku dowodów."

— W damskiej kajucie statku, który z Nowego Yorku wypływał, stał żebrząc mały chłopiec. Zobaczywszy to jeden z dozorców okrętowych, wziął malca za ucho, aby go na pokład wyprowadzić. „Pozwól mu pan tu zostać — przemówiła jakaś dama wytwornie ubrana — wszak to biedny chłopiec, nie mający ani odzienia ani obuwia, i zapewne bardzo głodny." Rzekłszy to wyjęła z sakiewki 50 centymów i wręczyła je żebrakowi. Potem obróciwszy się do obecnych rzekła srebrzystym głosem: „Spodziewam się, że każda z pań da także choćby centyma temu chłopcu biednemu." Wezwanie poskutkowało, w jednej chwili kapelusz żebraka był napełniony drobną monetą. Wkrótce potem okręt zawinął do portu. Chłopiec wyskoczył na brzeg, a przebiegłszy targowicę, stanął na rogu jednej z bocznych ulic. Niedługo trwało a z przeciwnej strony pojawiła się ta sama dama dobroczynna. Chłopiec oddał jej zebrane pieniądze, na co ona rzekła: „Dobrześ się spisał Dick, teraz poprobujemy szczęścia na najbliższym okręcie." Oto, do jakiego stopnia rozwinął się w Ameryce przemysł nawet—w żebractwie!

Treść Nr. 1.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).